



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## POGA WĘDKA.

Miłościwe lato złoci nam pola, rumieńcem zdobi dojrzewające owoce po sadach, przewiewa, odświeża powietrze, i w postaci urodnej a młodej gospośki krząta się po ziemi i przygotowuje zapasy dla skrzętnej jesieni, która znów pomacierzyńsku przyjdzie obdzielić nas chlebem i zaopatrzyć na zimę.

Jak tam napełnią się spichrze i stodoły, jak w końcu wypadnie bilans gospodarski: dobrze nie wiemy; ale mamy nadzieję, że zbiory tegoroczne wypadną szczęśliwie, że raz choćby dla odmiany i pociechy dowiemy się, iż przynajmniej o grosz ten fatalny staniały: chleb, mięso i cukier, te najzwyczajniejsze artykuły żywności naszej po miastach.

Ze też nic na tej Bożej ziemi nie może być zupełnem; że to jakos zawsze tak być musi, jak nieboszczyk Balzac powiedział: *il n'est rien complet ici bas, que le malheur seul!* a nie trzeba być koniecznie pesymistą i patrzeć przez zakopcone szkło na ten nasz padół, aby uwierzyć temu i potwierdzić powyższe zdanie najczęściej z własnego doświadczenia... Nieszczęście po ludziach chodzi, spada jak szarańcza w najpogodniejszą nieraz chwilę, burzy, jak grom, niekiedy cały gmach ludzkiej pracy, a odchodząc, jedną ręką wskazuje na przepaść, którą otworzyło, drugą ku niebu. Tu rozpacz i zwątpienie, tam pociecha i nadzieja! Wybieraj, człowiecze, co potrafisz.

Jakoś zanosiło się niezgorzej na ten rok, ożywiło się na wszystkich polach naszej gospodarki, ludziska sobie obiecywali odetchnąć i uśmiechnąć się do losu; ale los, figlarz okrutny, ma Nerońskie

fantazje, ma swoje błyskawiczne zwroty, których ani przewidzieć, ani obliczyć niepodobna.

Więc i teraz nie szukał długo i nie przebierał w środkach zepsucia nam chwilowej radości; w przeciągu dziesięciu tygodni zrobił nam szkody przeszło na 8,000,000 rs., około 100,000 osób zabrał mienie i spokojny kąt, a jakim 150 wykopał grób w zgłiszczach spalonych domów. Strach spojrzeć w statystykę, choć pobieżną, pożarów, które od Maja r. b. zniszczyły kilkadziesiąt miast, miasteczek, osad i wiosek. Augustów, Korzec, Łuków, Mińsk (gubernialny), Nowogródek, Słonim i tyle, tyle innych zgorzało, a za pożarem, jak zwykle bywa — idzie nędza i głód, choroba!.. Kraj stracił tyle kapitału, tyle dobytku ludzkiego z wiatrem poszło, praca lat długich rozwiała się z dymem; lecz czy to tylko los winien, czy to na ślepy przypadek, na jakies pogańskie *fatum* czy *ananke* zwałać trzeba całe nieszczęście?... Niestety, nie! W większej części wypadków zawiniłymi sami lekkomyślnością, skąpstwem, brakiem energii i zaradności.

Nieszczęsna ta niezaradność! Ona wszystkiemu winna, ona sprawczynią złego, ona najkarygodniejsza, bo podpałała strzechy ludzkie i ratowała ich nie pozwałała zrozpaczonym.

Czemuż nie zrobić z nią tego raz, co po wsiach zwykli robić z podpalaczem, czemu nie rzucić jej także w ogień, spalić, zniszczyć, aby się więcej nie mściła na nas?!

Corok o tej porze rozbrzmiewają przestrogi i napomnienia ludzi dobrej pamięci i dobrej woli, corok cudze doświadczenia przynoszą jedną i tę samą naukę o potrzebie zabezpieczenia dachu, chaty, rodzinnego sioła czy miasta od ognia; ale corok „czerwony kogut“ pieje tysiącom ludzi nad głową i krwawą luną rumieni niebo i ziemię.

Dziwna to niepojętność, dziwny opór pomimo takich bolesnych razów, dziwne lekceważenie własnego mienia i życia!

Możeż teraz nareszcie, po takich Nerońskich

godach, ocknie się przecież nasz ociężały pan brat obywatel po dworach, wieśniak po chatach, mieszczanin po grodach, i na rok przyszedł obronny zastęp przygotuje przeciw czyhającej kłesce, spadającej zniecka wprawdzie, lecz nie niespodziewanie.

Nie poddawajmyż się znów tak całkowicie i bez oporu temu smutnemu przekonaniu: *il n'est rien complet ici bas, que le malheur seul*, bo nareszcie zaczniemy sami pomagać nieszczęściu i torować mu drogę — coraz szerszą.

Odwróćmy też kartę smutną w kronice naszego społecznego i ekonomicznego żywota i na pocieszenie rzućmy okiem na datę, pod którą znajdziemy zapisany fakt poważnej doniosłości i dodatniego wpływu, mogącego kiedyś zrównoważyć w bilansie krajowym pozostawiane *minusy*. Mamy na myśli potwierdzenie przez władzę najwyższą projektu budowania nowej drogi żelaznej iwangrodzko-dąbrowskiej i powierzenie jej eksploatacji przedsiębiorstwu, złożonemu z osób ogólne poważanie i zaufanie w kraju mających.

Prawa fundatorów rzeczonyj drogi nadano spółce przedsiębiorczej, złożonej z p. p.: Jana Blocha, Alexandra Goldstanda, Stanisława Karskiego, Władysława Laskiego, Augusta hr. Ostrowskiego, Wilhelma Raua, spadkobierców Karola Scheiblera, Zygmunta mgr. Wielopolskiego i ordynata Tomasza hr. Zamojskiego.

Opinia publiczna w ostatnich czasach ze słuszną niecierpliwością i nateżoną uwagą wyczekiwała rozstrzygnięcia sprawy, która z wielu względów ekonomicznych i moralnych żywo zajęła cały nasz ogół. Szczęśliwe rozwiązanie, bo takim nazwać je dzisiaj mamy prawo, obudziło nową otuchę i nowe nadzieje, których główni kierownicy tak wielkiego i ważnego dla handlu i przemysłu przedsiębiorstwa nie zawiodą. Dzienniki nasze zwróciły też uwagę na wymienioną wyżej spółkę ze względu na jej skład i żywioły, poraz pierwszy wstępujące u nas na tę drogę publicznej dzia-



łałości dla dobra kraju; nadmienili przytem, całkiem słusznie, iż historyczne nazwiska niektórych członków nie mogą i nie będą zasłaniać zwyczajnej spekulacji pieniężnej; że dobra sława i pozyskane uczciwą pracą i rzetelnością zaufanie innych, musi być rękojmią pożytku i wpływu wielkiego ekonomicznego dzieła, podjętego swojskimi siłami i swojskimi kapitałami.

Linia nowej drogi żelaznej ma być najdłuższą ze wszystkich, jakie dotychczas stanowią sieć komunikacyjną w Królestwie Polskiem; przepowiedzieć można też okolicom, a zwłaszcza Kieleckiemu, błogie skutki z przybycia nowej arteryi, która do żywszej pulsacyi dopomoże przemyślowi krajowemu wogóle, a miejscowemu w szczególności, tak fabrycznemu jak i rolnemu, ułatwi warunki zbytu i transportu i technię nowe siły w ospały nieco ruch finansowy naszej prowincyi, czego daj, Boże, jaknajrychlej doczekać.

Warszawa na rok bieżący najmniej ze wszystkich miast naszych uskarżać się może. Oczekiwane tak długo, a tak często obiecywane „tramwaye“ na zimę zapewne krążyć już zaczną po ulicach syreniego grodu. Dla wewnętrznych stosunków komunikacyjnych naszego miasta udogodnienie to bardzo ważne i bardzo pożądane. Zbliżają się bardzo tanim kosztem najodleglejsze punkta Warszawy; najwięcej skorzystają na tem wszelako przedmieścia, których z konieczności unikano dotychczas, jako trudno dostępnych dzielnic miasta. Prawdopodobnie ożywi się też w pewnych kierunkach ruch budowlany, podupadły u nas w ostatnich czasach, bo pp. kamienicznicy przestali ryzykować swoje kapitały na stawianie domów, dla których nieraz nie można już znaleźć lokatorów pomimo niższej ceny komornego.

Dzięki energicznym układowi naszego Zarządu Miejskiego z Dyrekcją Dessauskiego Towarzystwa fabryki gazu, zanosi się też na uzyskanie dogodniejszych warunków oświetlenia miasta; postawione Niemcom *ultimatum* zmusi ich, albo do obniżenia ceny i lepszej fabrykacyi, albo do ustąpienia miejsca nowemu zakładowi, który, kosztem miejskim powstały, otworzy niewygodną, może nawet zabójczą, konkurencyą obcokrajowcom.

Nareszcie, najważniejsza ze wszystkich, sprawa kanalizacji i wodociągów, które stają na równi niejako z transfuzją, mającą zdrową krew do zepsutego organizmu miasta wprowadzić, weszła na drogę praktycznego rozwoju. Odpowiedni kontrakt zawarto już z wykonawcą planów p. Lindleyem, który za sumę 20,000 rocznie objąć ma nadzór nad robotami. Roboty te kosztować będą siedm milionów rubli i najpóźniej mają być ukończone do d. 13 Stycznia 1877 r.

Komu przeto Parki snuć będą jeszcze nitkę życia na długość... sześciu lat, ten może mieć błogą nadzieję wypicia toastu pucharem — czystej (!) wody na pohybel wszystkim odorom, katarom, gorączkom i t. p. plagom syreniego grodu. Inni przynajmniej umierając na niezyt kiszki lub tuberkuły, zejść z tego świata z tą przecieź pociechą, iż dzieci ich dożyją owych pięknych dni, w których można będzie bez mikroskopu pić wodę z warszawskich wodociągów i chodzić po wszystkich ulicach, niezatykając nosa.

Dla lepszego skontrolowania: ilu też mieszkańców miasta Warszawy z przyległościami дочека się tej ważnej w dziejach naszych epoki, posłuży pierwszy naukowy spis całej ludności, przygotowywany przez komitet statystyczny, złożony z obywateli, bez udziału policyi. Spis ten jednodniowy odbyć się ma w ciągu 1-go Grudnia r. b.

Nie trzeba chyba dodawać, że sporządzenie takiego inwentarza żywych osobników powinno być oile możności jaknajdokładniejszym; godzi się też mieć nadzieję, iż udział inteligencyi w tem przedsięwzięciu mającym jedynie tylko naukowe cele i także znaczenie, przyczyni się znakomicie do tego rezultatu. Nie obejdzie się bez pewnych kwestyj, zwłaszcza w ciemniejszych warstwach naszej ludności, która, niemając wiele pojęcia o znaczeniu i potrzebie statystyki, będzie z właściwem sobie niedowierzaniem przyjmować panów komitetowych, zbierających szczegóły i daty po domach. Należałoby wszelako przed czasem złe zmniejszyć, lub usunąć całkowicie, tłómacząc, czy-to z kazal-

nic, czy w pismach najbardziej popularnych, czy też prywatnie, przy nadarzonej sposobności, że taki spis ludności nie grozi nikomu, ani podwyższeniem podatku, ani nowym poborem do wojska, ani niczem podobnem wcale; natomiast pożytek takiego obrachunku wielki, boć dobrze wiedzieć raz dokładnie *ilu* nas jest i *jakich* w murach Warszawy, czem się trudnimy, z czego żyjemy, jaką summą inteligencyi rozporządzamy, a ile jeszcze niedoborów znajdzie się w tym bilansie społecznym.

Mówimy tu o długach bardziej moralnej natury; o długach, jakie każde społeczeństwo zaciąga względem wielkich okresów swej przeszłości, względem pamięci wielkich ludzi, wielkich mężów swego narodu. Taki dług, od ćwierci wieku przeszło ciążyący na nas, exekwowany przez lat kilkanaście, należy się też pamięci i ceniom największego wieszczka całej Sławiańszczyzny, Adama Mickiewicza. Sprawa postawienia pomnika godnego poety i jego narodu weszła w ostatnich czasach na porządek dzienny u nas, ale weszła snadź po to, aby nas zawstydzić do żywego, aby zaświadczyć o naszej... niewdzięczności. Wbrew ogólnemu spodziewaniu składki *kapią* zaledwie, zamiast *popłynąć* pełnym korytem.

Jakto?... więc mamy grosz na wyrzucenie, gdy chodzi o głupstwa, o figle, o reklamy, gdy trzeba kupić konia hecarce, albo napchać kabzę pierwszemu lepszemu kuglarzowi; gdy się zdarza sposobność spoić panów braci na jarmarku, lub zabawić się kartami; gdy trzeba spłacać rachunki krawców i modniarek: a nie mamy go, gdy chodzi o okupienie narodowej godności, o zaświadczenie, że rozumiemy, odczuwamy i czcimy tych, którzy za „miliony czuli“, którzy zapalali nad nami niezgaszoną aureolę sławy, którzy z Bożej łaski byli największymi naszymi mocarzami ducha i uczucia?!...

Gdzież owe Zosie, owi Tadeusze, gdzież te zaścianki szlacheckie, gdzież te Jankle, których wielki poeta opiewał w największej polskiej epepe... Gdzież oni?... czy tak zbiednieli, że grosza już nie mają na spłacenie długu wdzięczności, czy tak wymarli, że śladu po nich nie zostało, czy się tak... wyrodzili, że do rodziców dziś już z niczego nie podobni?

Nie śmiemy sobie odpowiadać sami, bo strach i wstyd nie pozwala.

Musiał się aż zrodzić projekt w jednym z pism naszych, aby urządzić wielki pogrzeb, aby ciało poety sprowadzić z Montmorency do Krakowa, aby uderzyć we wszystkie dzwony i wśród poruszonego a paradą pogrzebową zwabionego tłumu obchodzić z tacą i skarbonką po jałmużnę!... Czy to tak stawiają narody pomniki swoim wieszczom?... Chyba nie, chyba to gorszy wstyd od niepamięci zupełnej.

Pomyślcie o tem, wy, co się w Mickiewiczu odnaleźć umieliście!...

\* \* \*

Przy sposobności składania ofiar na pomnik dla wielkiego wieszczka naszego, który stanąć ma w Krakowie; według szkicu, nad którym pracować mają rzeźbiarze całej Europy, wezwani do tego konkursem komitetu krakowskiego, pod przewodnictwem Dra Weigla, pojawiły się także cenne pamiątki po Adamie, kartki jego rękopism i listy. Przychodzi nam myśl, czyby jednocześnie nie należało zająć się pościąganiem wszystkich, choćby najmniejszych drobnostek, przypominających nam autora *Grażyny*.

Toż Niemcy zebrali po swoich muzeach nawet tabakierki, chustki i guziki swych znakomitych poetów. Nie namawiamy do przesady, do takiego fetyszyzmu dla znikłych naszych wielkości, ale zróbmy tyle, co w miarę zrobić się godzi i można.

Dzięki ks. Marcelinie Czartoryskiej w Muzeum Krakowskiem, darowanem na użytek publiczny przez ks. Władysława, urządzono osobny dział pamiątek po serdecznym naszym śpiewaku, Fryderyku Szopenie. Niechby i Mickiewicz znalazł tam dla siebie miejsce. Musi jeszcze nie mało, drogich wprawdzie dla posiadaczy, zabytków znajdować się w rękę przyjaciół, znajomych i rodziny Adama;

ale chyba na taki cel, na schowanie w Muzeum, jak w skarbcu pamiątek, nikt nie poskąpi daru i zrobi poświęcenie z tego, co przechowywał u siebie.

Z czasem należałoby i o pozostałościach po Słowackim i Krasińskim pomyśleć.

Francuzi, jak relikwią, chowają w Cluny szcęgę Molière'a, a każde pióro Wiktora Hugo będzie kiedyś drogocennym zabytkiem.

Czyżbyśmy nie potrafili równie, jak inni — zajmować się naszymi poetami?

\* \* \*

Nowe przedsięwzięcie: *teatr* przy ulicy Królewskiej, obmyślany i urządzony przy pomocy p. Krausego, uporczywie jakoś czekać na siebie każe. Roboty już ukończone: znać to po dwóch ładnych latarniach gazowych, tęskniących tylko jeszcze do gazu; znać po wyglądzonej, kokieteryjnie przystrojonej bramie, po usuniętych zprzód przyszłego Muz przybytku piecach asfaltowych, które, na podobieństwo pewnych filantropów - publicystów zaściankowych, robiących dużo a hałasujących jeszcze więcej, wszystkich przechodniów, czy który chciał czy nie chciał, dymem swoim okopcały.

Dawny więc Alkazar niemiecki będzie odtąd widownią dla artystów pierwszej sceny polskiej.

Nowy ogródek tedy spóźnił się i może już w nim kwiaty przed jesienią nie zakwitną; ale za to dawniejsze znajdują się w pełni rozkwitu przy pomocy dość wiernej i stałej — niedarmo też do żeńskiego rodzaju należącej — pogody. Dyrektorowie teatrzyków ogródkowych, dzięki współzawodnictwu, doskonale spełniają swe obowiązki względem publiczności: dają jej rzeczy nowe, tak obce jak swojskie. Panu Puchniewskiemu, władającemu w Alhambrze, zawdzięczamy poznanie *Divorçons!* W. Sardou, p. Doroszyńskiemu z *Belle-vue* podziękować musimy za wystawienie w Warszawie *Rozbitków* Blizińskiego, sztuki 4-aktowej, założeniem swoim, architektoniką duchową, doborem charakterów, od innych tego autora utworów daleko odbiegającej. Ujął tu Bliziński w rękę pędzel, jeśli nie pesymizmu, to gorzkiej satyry; na paletę swoją wiele barw ciemnych nałożył. Sztuka jego przyniata, przygnębia, a co smutniejsza, ma w sobie wiele prawdy żywem ze społeczeństwa, jak kość z boku Adama, wyjętej. — Szambelanów i Kotwiczów jest między nami więcej niż myślimy; cała jedna warstwa społeczeństwa zapada się; stąpasz po niej jak po torfowisku. Smutne to, smutne!

Ze sztuk nowych oryginalnych widzieliśmy na scenach ogródkowych jeszcze *Ojcowiznę* p. Świderskiego i *Nędzę warszawską* — nad wszelki wyraz nędzną. W obu sztukach nie brak lichwiarzy; w drugiej do towarzystwa ich przybywa jeszcze cały legion szwaczek; akt IV czy XIV, bo już nie pamiętamy, dzieje się w „gubernii Kaliskiej“. *Suprême!* — Publiczność bywająca w Tivoli zabawia się obecnie przerobionymi *Slubami* Fredry pod tytułem *Mädchenchwüre*.

*Sursum cor*, Euterpe! Przybył już do Warszawy Warszawianin Mierzwiński, jedyny dziś w Europie Wilhelm Tell, a doskonały Raul, Radames i t. d. Kto się nie ulęknie gorąca, ten w przyszłym tygodniu usłyszy tego tenora, którego nasłuchali się już Anglicy i Francuzi.

Ubiegający sezon operowy był dla Warszawy pomyslnym. Ożywili go i wzbogacili wrażeniami panna Machwitz, pp. Wasilewski i Zakrzewski. Na Wrzesień zapowiadają przyjazd Masiniego z jakąś gwiazdą sopranową.

W dramacie cicho; nadzwyczajnością są tylko występy p. Ładnowskiego, który po długiej chorobie szczęśliwie do zdrowia powrócił.



## MIŁOŚĆ CZY RACHUBA?

NOWELLA

przez

E l - e m.

(Dalszy ciąg).

II.

Od owej pory echo to grało mu w uszach ciągle, a nawet wtedy, gdy po upływie dni kilku zawiął do dworu i stał przed Janiną, siedzącą na wierzchu przystrojonej kwiatami. Wszedł krokiem pewnym, który tak dobrze godził się z jego atletyczną niemal postacią. Swobodnie podał rękę młodej gospodyni domu i usiadł na wskazanym miejscu.

Janina przywitała go dość obojętnie.

— Pani ciągle zmartwiona — zapytał — spozostregłszy w obejściu jej chłód, którego się nie spodziewała.

— Mam do tego powody.

— Czy znowu pan Skarosz?

— Nie... pan Konrad.

— Ja? — zawołał zdziwiony.

— Tak — odrzekła, ciągle zasepiona. Sądziłam, że po spotkaniu naszym w lesie będę miała sposobność tegoż dnia widzieć pana u siebie; nie uczyniłeś pan tego. Jeżeli nie uważałeś za stosowne przestąpić progów tego starego domu, jest to rzeczą osobistego poglądu; sądzą jednak, że w każdym razie należało mnie zawiadomić o zajściu, jakies pan miał z moim wierzycielem.

— O jakim zajściu?

— Ja nie wiem, co między panami zaszło; słyszałam tylko o tem, że Skarosz zaskarżył pana do sądu o napad gwałtowny w lesie, mnie zaś podał za inicjatorkę tej całej awantury.

— Być nie może!

— Tak jest, panie Konradzie, mam bardzo pewną wiadomość. Na miłość boską! cóżes pan uczynił? Przedstaw pan sobie: jaki może być skutek takiej skargi. Pana tu nikt nie zna, mnie znają wszyscy; pana ze Skaroszem nie łączy, ja zaś jestem jego dłużniczką: cóż sobie wobec takich okoliczności pomysła sędziowie? Zresztą, pan przyzna, że choćby samo połączenie naszych nazwisk w tego rodzaju sprawie, może mnie postawić w dziwnym jakimś świetle....

— Rozumiem — przerwał Konrad z bolesnym czy ironicznym uśmiechem. Lecz nie obawiaj się pani niczego. Skarosz nie ma żadnego świadka na poparcie swej skargi, którą sąd bezwątpienia odrzuci. W każdym zaś razie skarga będzie odwołana.

— W jaki sposób? — odrzekła z niedowierzaniem.

— Pozostaw to pani mnie i wierz mi, że z mojej winy nie poniesiesz nigdy straty najmniejszej.

— Ale co to było? niezmiernie ciekawa. Zkąd panu do kłótni ze Skaroszem?

— Nic... drobnostka. Skarosz, spotkawszy mnie w lesie, wyraził z tego powodu swoje niezadowolenie. Dałem mu do zrozumienia, że popolsku nie rozumiem, tylko poangielsku. Na co on odrzekł trochę opryskliwie, że poangielsku nie rozumie, więc dałem mu dobrą lekcję angielskiego języka, więc dałem mu dobrą lekcję amerykańskiego akcentu. Wszak za to sądy nie karzą? — dokończył, śmiejąc się głośno.

— W doskonałym pan bywa humorze. Oile sobie przypominam — odrzekła, obserwując go pilnie — dawniej nie bywałeś pan takim. Często bardzo można było spotkać pana błądzącego samotnie po lesie lub nad brzegiem wody.

— Tak, zmieniałem się i pod tym względem. Ale mniejsza o to: przybywam do pani z ważnym interessem.

— Spodziewałam się, że tylko z interessem — zapewne rachunkowym.

— Odgadłaś pani. Przybywam, ażeby porozumieć się co do znalezionej w majątku jej węgla.

— O węglu tym wiem, wprawdzie nie od pana, lecz od sąsiadów, z których jedni przybiegli z radością winażować mi tego odkrycia, drudzy zaś ostrzedz, ażebym się co do tego, żadną rozkoszną nie ludziła nadzieją, lecz owszem starała się ustrzedz od kosztownych a niepowrotnych wydatków, jakie podobne odkrycia zwykle za sobą ciągną. Żadna więc dla mnie z tego węgla, ani pomoc, ani pociecha.

— I tak źle panią upredzili sąsiedzi? Dziwię się bardzo, że tak łatwo dajesz pani wiarę zdaniom niedoświadczonych ludzi.

— Cokolwiek jest, panie Konradzie, nie kobieca to sprawa i nie dla mnie, słabej i zniekanej. Jestem zbyt niezaradna, by się zająć tak trudnym, technicznym interessem i zbyt.....

— Dokończ pani, proszę.

— I zbyt dumna, aby nawet w tem położeniu, w jakim się obecnie znajduję, prosić lub trudzić kogokolwiek moimi interesami.

— Ja pozwoliłem sobie wyręczyć panią i właśnie z powodu tych kopalni zmuszony byłem wyjechać stąd o mil kilkanaście. Ta jest przyczyna mej nieobecności.

Dziś mogę panią zapewnić, że pokłady w jej majątności, sprawdzane przezemnie i dwóch górników towarzystwa, są bardzo bogate.

— Czy być może! — przerwała z odbłyskiem radośnym w oczach.

— Tak jest, jak powiadam; nie mam żadnego powodu ludzi pani i utrzymywać jej w błędzie.

— Więc mogę być jeszcze uratowana! — dodała z żywością. Pan nie wiesz, ile mi na tem zależy, by nie potrzebować łaski krewnych, by móżdż choćby cudem zatrzymać tę rodzinną majątność.

— Jest to rzecz bardzo trudna — odrzekł Konrad z pewnym powątpiewaniem, — lecz może da się przeprowadzić.

— W jaki sposób? Słucham pana uważnie. Czy czasem pan nie masz zamiaru z tych kopalni korzystać?

— Ja? — odrzekł, śmiejąc się serdecznie. — milionowe to przedsięwzięcie; siły pojedynczego człowieka nie starczą.

— Wspominałeś pan, że masz być niezależny; więc sądziłam, że powrót pański do kraju wywołany może zostać widokami....

— Spekulacyi? Bynajmniej — odrzekł. Mam tyle, lub może trochę więcej, aniżeli mi potrzeba, spodziewam się, że biedy nie zaznam, gdy będę miał ręce zdrowe do pracy. O przedsięwzięciach jednak tak olbrzymich na własną rękę myśleć nie mogę. Lecz odbiegam od interessu. Porozumiałem się z dyrektorem towarzystwa, który chwilowo bawi u nas w kraju. Towarzystwo gotowe jest chętnie wejść w układy, a według zwyczaju pragnie wziąć kopalnię na szereg lat długi; eksploatować je będzie na własny koszt i ryzyko, dochodami dzieląc się z właścicielem gruntu, któremu zresztą służy najrozsądniejszą kontrolą. Po upływie umówionego czasu układ może być zerwany, zmieniony lub przedłużony. Są to warunki proste i dość dogodne.

— Jak dla mnie bardzo dogodne i bardzo przystępne. A jakież to towarzystwo?

— Pierwsze Amerykańskie Towarzystwo górnicze, mające stałą siedzibę w Filadelfii, a filie porozrzucone po całym niemal świecie. Zachodzi jednak w układach jeden bardzo ważny szkopuł.

— O który się wszystko rozbija? — przerwała z niepokojem.

— Nie jeszcze, zależy to od dalszych układów i warunków umowy... Oto radca prawny towarzystwa zawiadomił, że majątek wystawiony jest na licytację i odradzał z tego powodu zawarcie kontraktu. Jest to okoliczność bardzo ważna, choć mojej nie zwróciła uwagi; gdyż towarzystwo nie może obecnie z nikim się układać, nie wiedząc, kto będzie dobr tych właścicielem. — Póki więc tej przeszkody nie usuniemy, rzecz cała może pojsć w odwłokę.

— Więc co począć? ja tu nie poradzę.

— Towarzystwo pragnęłoby jednak wejść w układy chętniej z dotychczasową majątku tego właścicielką, aniżeli z przyszłym, nieznanym sobie posiadaczem; dlatego też byłoby gotowe dostarczyć funduszu na spłacenie długów i zniesienie licytacji.

— Nie jeszcze, zależy to od dalszych układów i warunków umowy... Oto radca prawny towarzystwa zawiadomił, że majątek wystawiony jest na licytację i odradzał z tego powodu zawarcie kontraktu. Jest to okoliczność bardzo ważna, choć mojej nie zwróciła uwagi; gdyż towarzystwo nie może obecnie z nikim się układać, nie wiedząc, kto będzie dobr tych właścicielem. — Póki więc tej przeszkody nie usuniemy, rzecz cała może pojsć w odwłokę.

— Więc co począć? ja tu nie poradzę.

— Towarzystwo pragnęłoby jednak wejść w układy chętniej z dotychczasową majątku tego właścicielką, aniżeli z przyszłym, nieznanym sobie posiadaczem; dlatego też byłoby gotowe dostarczyć funduszu na spłacenie długów i zniesienie licytacji.

— Nie jeszcze, zależy to od dalszych układów i warunków umowy... Oto radca prawny towarzystwa zawiadomił, że majątek wystawiony jest na licytację i odradzał z tego powodu zawarcie kontraktu. Jest to okoliczność bardzo ważna, choć mojej nie zwróciła uwagi; gdyż towarzystwo nie może obecnie z nikim się układać, nie wiedząc, kto będzie dobr tych właścicielem. — Póki więc tej przeszkody nie usuniemy, rzecz cała może pojsć w odwłokę.

— Więc co począć? ja tu nie poradzę.

— Towarzystwo pragnęłoby jednak wejść w układy chętniej z dotychczasową majątku tego właścicielką, aniżeli z przyszłym, nieznanym sobie posiadaczem; dlatego też byłoby gotowe dostarczyć funduszu na spłacenie długów i zniesienie licytacji.

— Nie jeszcze, zależy to od dalszych układów i warunków umowy... Oto radca prawny towarzystwa zawiadomił, że majątek wystawiony jest na licytację i odradzał z tego powodu zawarcie kontraktu. Jest to okoliczność bardzo ważna, choć mojej nie zwróciła uwagi; gdyż towarzystwo nie może obecnie z nikim się układać, nie wiedząc, kto będzie dobr tych właścicielem. — Póki więc tej przeszkody nie usuniemy, rzecz cała może pojsć w odwłokę.

— Więc co począć? ja tu nie poradzę.

— Towarzystwo pragnęłoby jednak wejść w układy chętniej z dotychczasową majątku tego właścicielką, aniżeli z przyszłym, nieznanym sobie posiadaczem; dlatego też byłoby gotowe dostarczyć funduszu na spłacenie długów i zniesienie licytacji.

— Ależ to zbawienie! I cóż staje temu na przeszkodzie?

— Powiem pani otwarcie — odrzekł Konrad z pewnym wahaniem się — gdyż w interessach niczego ukrywać nie należy. Towarzystwo nie ma zaufania do majątków subastowanych, i dlatego, powtarzam, gotowe-by było udzielić pani zaliczkę, gdyby za spokojne użytkowanie kopalni poręczył ktoś odpowiedzialny lub dobrze znany.

— Nie mam nikogo — odpowiedziała wolno, poruszając głowę.

Zresztą w jaki sposób zwrócę towarzystwu odrazu tak znaczną sumę? Czy zaś dłużną będę jemu, czy Skaroszowi, to w ostateczności wszystko jedno. Jest to tylko chwilowe zażegnanie burzy.

— Towarzystwo przewiduje tę okoliczność i dlatego udziela pani pożyczkę na procent bardzo mały, z umorzeniem na długie lata rozłożonem, — odpowiedział wolno, spuszczać oczy i bawiąc się łańcuszkiem od zegarka.

— To musi być jakies filantropijne towarzystwo?

— Bynajmniej — odrzekł Konrad, patrząc jej znów śmiało w oczy.

Są w Ameryce towarzystwa filantropijne, lecz te nie zajmują się wydobywaniem węgla kamiennego; są znowu towarzystwa górnicze, które nie bawią się filantropią. Towarzystwo, o którym mowa, wzięło wszystkie stawiane warunki pod bardzo ścisłą kredkę. Nie straci ono nigdy, zrobi zawsze doskonały interes.

— Przypuścimy, że tak jest w istocie; lecz cóż będzie z poręczeniem?

— I poręczyciela mam na widoku, lecz przyzna pani, że ten kto za panią poręczy, przedewszystkiem mniej lub więcej ryzykuje; następnie albo musi sam wszystkiego tu doglądać, albo kogoś od siebie ustanowić.

Nikt dzisiaj nie robi nic darmo; dlatego też i ów poręczyciel żąda za to wszystko pewnego wynagrodzenia, mianowicie trzeciej części z przyspaś mającego na panią dochodu z kopalni.

— To bardzo dużo... Ależ to doskonała spekulacja! Niech pan zważy, iż nie będzie już żadnego ryzyka, jeśli tylko funduszem otrzymanym od towarzystwa spłacę Skarosza.

— Ryzyko istnieje przy najpewniejszym nawet interesie.

— A któż jest tym poręczycielem? Niechże wiem przynajmniej: z kim mieć będę do czynienia.

— Ze mną — odrzekł tonem najobojętniejszym w świecie. — Janina bystry, przenikliwy wzrok utkwiała w pięknej twarzy Konrada. Spojrzeniem dla niej człowieka, dobroczyńcę czy spekulanta, dziwaka, — czy odgrywającego dobrze wyuczoną rolę. On badał również każde drgnięcie jej twarzy, każde nieme ust poruszenie: ani na chwilę nie spuścił z niej mądrych oczu spojrzenia. I on chciał może w tej oryginalnej grze jej rysów pochwycić choć jeden ton upragniony. Badali się wzajem i przeniknąć usiłowali; gdy zaś na chwilę rzucili okiem na park, u ich stóp rozłożony, na statki w oddali, poza lasem, unoszone na szarej Wisły falach, w pamięci ich stanęła żywo ślubowana miłość braterska, i spacer po rzece, i *Balladyna*, czytana głośno w cienieściej altanie, i cała ta sielanka młodości, tak sprzeczna z obecną chwilą. Lecz trwało to tak krótko, że nie zdołali nawet zadać sobie pytania: „Po cóż zwoździć się napróżno.“ On pozostał niemym, zimnym, z dumą przyjmował jej przeszywające spojrzenia; ona, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zapytała go chłodno:

— Więc to pan jesteś tym poręczycielem; więc to pan ręczyć chcesz za mnie i każesz sobie za to płacić! Co to jest, panie Konradzie: żarty, czy rzeczywistość?...

— Interes — odpowiedział.

— Skoro tak, więc to jedno słowo już mi wszystko tłómaczy, — dodała, tłumiąc gniew i ponowne wzruszenie.

— Panią to dziwi, mnie zaś dziwiłoby również, gdybyś pani pragnęła, ażebym postępował inaczej. Ciężka szkoła życia kazała mi zapomnieć o wielu pięknych na pozór rzeczach, dodając natomiast do skarbcza doświadczenia dużo cennych wskazówek. Rozumiem ja to dobrze, iż nie idzie pani o zyski uszczuplone moją tantiemą, lecz zechciej pani zro-

— Panią to dziwi, mnie zaś dziwiłoby również, gdybyś pani pragnęła, ażebym postępował inaczej. Ciężka szkoła życia kazała mi zapomnieć o wielu pięknych na pozór rzeczach, dodając natomiast do skarbcza doświadczenia dużo cennych wskazówek. Rozumiem ja to dobrze, iż nie idzie pani o zyski uszczuplone moją tantiemą, lecz zechciej pani zro-

— Panią to dziwi, mnie zaś dziwiłoby również, gdybyś pani pragnęła, ażebym postępował inaczej. Ciężka szkoła życia kazała mi zapomnieć o wielu pięknych na pozór rzeczach, dodając natomiast do skarbcza doświadczenia dużo cennych wskazówek. Rozumiem ja to dobrze, iż nie idzie pani o zyski uszczuplone moją tantiemą, lecz zechciej pani zro-

— Panią to dziwi, mnie zaś dziwiłoby również, gdybyś pani pragnęła, ażebym postępował inaczej. Ciężka szkoła życia kazała mi zapomnieć o wielu pięknych na pozór rzeczach, dodając natomiast do skarbcza doświadczenia dużo cennych wskazówek. Rozumiem ja to dobrze, iż nie idzie pani o zyski uszczuplone moją tantiemą, lecz zechciej pani zro-

— Panią to dziwi, mnie zaś dziwiłoby również, gdybyś pani pragnęła, ażebym postępował inaczej. Ciężka szkoła życia kazała mi zapomnieć o wielu pięknych na pozór rzeczach, dodając natomiast do skarbcza doświadczenia dużo cennych wskazówek. Rozumiem ja to dobrze, iż nie idzie pani o zyski uszczuplone moją tantiemą, lecz zechciej pani zro-

— Panią to dziwi, mnie zaś dziwiłoby również, gdybyś pani pragnęła, ażebym postępował inaczej. Ciężka szkoła życia kazała mi zapomnieć o wielu pięknych na pozór rzeczach, dodając natomiast do skarbcza doświadczenia dużo cennych wskazówek. Rozumiem ja to dobrze, iż nie idzie pani o zyski uszczuplone moją tantiemą, lecz zechciej pani zro-



## Z DZIAŁU PRZYRODY.

### Magnetyzm zwierzęcy i doświadczenia Donata.

zumieć, że na tym wielkim, pełnym zimnych serc świecie jestem sam jeden, jak kamień na amerykańskim stepie; że sam zdobywać sobie muszę wszystko tylko temi rękami. Kropli wody nikt nikomu nie poda darmo: a dla mnie ma być wstydem za uczciwą pracę pobierać wynagrodzenie od dziedziczki znakomitego imienia i wielkiej fortuny?... Towarzystwu zależy na użytkowaniu z kopalni, pani znów na tem, by układ doszedł do skutku; zarobicie wszysey: niechże więc i dla mnie coś się okroi.

— Dobrze, bardzo dobrze — skoro stoimy na gruncie mniej lub więcej zyskowego interesu. zbytecznymi są wszelkie rozprawy, a nawet dalsza w tym przedmiocie rozmowa. Więc, co mam czynić, ażeby interes ten, — dodała z przyciskiem, — jaknajprędzej doszedł do skutku?

— Pojedziesz pani co najrychlej do miasta i podpiszesz u rejenta jedną plenipotencją dla swego rządcy, do traktowania ze Skarosem, a drugą dla mnie, do najrozciąglejszego działania w jej interesach. Wszak obdarzysz mnie pani takim zaufaniem?

— Najzupełniej i najbezinteresowniej.

Konrad powstał z miejsca i zabierał się już do wyjścia, gdy na progu ukazał się mężczyzna wysoki, z jasnemi bokobrodami, okazujący postawą swoją i sztywnością ruchów, że był człowiekiem nawykłym do karności wojskowej.

— Dobry wieczór, kuzyneczko! — jak się masz kuzyneczko? Winszuję ci, kuzyneczko — zawołał, nieco rubasnie podchodząc ku Janinie.

— Jak się masz, kapitanie, — odrzekła uradowana, powstawszy z krzesła. — A to z ciebie gość niespodziewany! Lecz czego mi winszujesz na samem przywitaniu?

— Węgla, kuzyneczko, — rzekł, uśmiechając się i pokręcając węża. — Doskonała rzecz — węgiel! Nieraz go nam brakło w obozie. Wielu to rzeczy zresztą brakło w tym obozie; dlatego choć lubię służbę i wojsko austriackie, kontent jestem, że osiadł już na roli.

— Więc dymissya w kieszeni. A! przepraszam, panowie się nie znają? Mój kuzyn hrabia Alfred... Pan Konrad...

— Z Polanówki — przerwał kapitan wyciągając rękę do Konrada.

— A ja z Filadelfii — odrzekł, uśmiechając się Konrad.

— Co? z Ameryki! a mówisz pan tak dobrze polsku?

— Chowałem się w Polsce.

— Bardzo rad jestem z pańskiej znajomości — odrzekł dobroduszenie kapitan. Będziemy mogli pogawędzić sobie wesoło o tych Amerykanach, o których cuda słyssałem w obozie.

— Z przyjemnością, panie kapitanie, służę mu zawsze ochoczo, lecz w tej chwili wypada mi przeprosić go, a przedewszystkiem szanowną panią domu, za to, że pożegnać państwa muszę, mam bowiem pilny interes w mieście.

— Jakto? więc nie zostaniesz pan z nami na herbacie?

— Nie mogę, łaskawa pani, czekają na mnie...

Podał rękę Janinie, kapitanowi, i skłoniwszy się nisko, wyszedł.

Zmierział do traktu, gdzie czekały konie; lecz trudno mu było wyrwać się z miejsca, z którym go tyle wspomnień łączyło. Obszedł wszystkie pola i łąki, stawy i las okoliczny; przesłał pozdrowienie ptactwu, które krzykliwie szybowało nad jego głową, i przy zapadającym już zmroku z wolna zwracać począł do parku i zbliżać się do terrasy, z kąd dochodziły go urywane głosy swobodnie prowadzonej rozmowy.

— Zatem rzecz ułożona: poręczysz za mnie, kuzynie? — mówiła Janina.

— Cóż za pytanie!...

— I nie każesz sobie za to zapłacić?...

— Co za myśli dziwne!...

Konrad uśmiechnął się gorzko i cichaczem wysunął się z parku.

(Dalszy ciąg nastąpi)

W dawnych czasach do wyrazu magnetyzm zwierzęcy, przywiązywano zawsze pojęcie o jasnowidzeniu. Magnetyzer usypiał swoje medium po to tylko, żeby ono odgadywało chorobę czyjąś, poddyktowało środki lecznicze przeciwko tej chorobie, przepowiadało jaki numer na loteryi wygra, jaki los tę lub ową osobę w niedalekiej przyszłości spotka i t. d. Ludzie naiwni wierzyli w te wszystkie brednie i dodziśdnia spotkać się możemy z osobami wiekowymi, zapewniającymi nas, iż życie swoje, lub życie swojego przyjaciela, zawdzięczają jakiejś jasnowidzącej, która poddyktowała w swoim śnie środek leczniczy zadziwiający swoją prostotą i uzdrowiła z ciężkiej niemocy pacjenta, którego już wszysey lekarze odstąpili. Wymieniają zwykle w tych razach raka, aneuryzm serca lub tym podobną chorobę. Sądzę, iż z postępem czasu, wiara w te wszystkie brednie znacznie osłabioną została, i gdyby magnetyzer dawnego autoramentu przybył do Warszawy, miałby stosunkowo adeptów znacznie mniej niż przed laty dziesięciu lub piętnastu. Wyrażam się oględnie, mówiąc tylko: znacznie mniej, gdyż pewien procent ludzi mało oświeconych znaleźć się musi, czego dowodem powodzenie, jakiego w Warszawie doznaje metoda leczenia hr. Matei'ego i jego reprezentantka na Królestwo Polskie, Stanisława z Kaczkowskich Byszewska, oraz sławny owczarz, stale w mieście tutejszem zamieszkały.

Nastaly inne czasy. Całe kuglarstwo z owem jasnowidzeniem już się sprzykrzyło; ale jednocześnie z tem przestano się zajmować magnetyzmem zwierzęcym, z którego żadnych już praktycznych rezultatów nie było można osiągnąć. Dwóch zręcznych experymentatorów, Donato i Hansen, potrafiło zwrócić uwagę, tak publiczności, jak i świata uczonego, na zjawiska magnetyczne; im też przeważnie zawdzięczamy ogólne zainteresowanie się tem ciekawem zjawiskiem natury. Mieli oni odwagę stanąć na estradzie i oświadczyć przedewszystkiem publiczności, iż nie będą demonstrowali żadnych zjawisk nadzwyczajnych, nadprzyrodzonych, lecz wszystko co czynić zamierzają, mieścić się będzie w granicach czysto fizioologicznych, i to poczytujemy im za nie małą zasługę. Wprawdzie szkocki lekarz Braid jeszcze w 1843 r. dowiódł, iż sen magnetyczny, który on „hypnotycznym“ nazwał, wywołać można przez trzymanie przed oczami jakiegoś świecącego przedmiotu, i sprowadził tym sposobem cały szereg nadzwyczaj ciekawych zjawisk do fenomenu fizioologicznego; ale rzecz ta rozgłosu żadnego nie nabrała i jakoś wkrótce zapomniano o całym tym wynalazku. W dziesięć lat potem dobiegła nas wiadomość zdaleka, aż z Kalkuty, iż Dr Esdaile używa świecącego przedmiotu dla usypiania swoich chorych i że wykonywa na nich operacye, nie sprawiając im żadnego bólu, a nie było to wcale oszustwem, gdyż komitet wyznaczony przez gubernatora Indyjskiego rzecz tę niezaprzeczenie stwierdził. Przez fakt ten zapatrywanie się na całą sprawę magnetyzmu zwierzęcego radykalnej uległo zmianie. Przekonano się, iż nie potrzeba wcale wpływu jednej osoby na drugą, żeby szereg ciekawych tych zjawisk wywołać. Monotonne wrażenia, wywoływane za pośrednictwem organu czucia, wzroku a nawet słuchu, sprowadzało jakieś ukołysanie czynności mózgowych i ztąd zjawiska, o których mowa, powstawały. O tem, że słuch także ważną rolę odegrzywa, przekonał się Heidenhain, który za pomocą idącego zegarka, monotonnego uderzania paznogciem o stół, monotonnego śpiewania i t. d. najgłębszy sen hypnotyczny sprowadzał. Pewne wrażenie doznane przez nerw wzrokowy, słuchowy lub nerwy czucia, dostając się do naszej samowiedzy, sprowadzają ten zagadkowy stan, nad wyjaśnieniem którego napróżno uczeni dotychczas się silą.

Jeżeli w ten lub ów sposób kogoś w sen hypnotyczny wprawimy, następuje cały szereg ciekawych w najwyższym stopniu zjawisk, które postaram się tu pokrótce opisać, w porządku obranym przezemnie w artykułach *Gazety Warszawskiej*.

Donato wykonywał z początku doświadczenia hypnotyczne na towarzysze swojej, pannie Lucylli; była to dwudziestoparoletnia Paryżanka, do brze, ale nie atletycznie zbudowana, wyglądająca świeżo i zdrowo, średniego wzrostu, blondynka; nie była ona ani zbyt korpulentną, ani system muskularny nie był u niej zbyt rozwinięty; do osób słabowitych, nerwowo rozdrażnionych nie można jej było bezwarunkowo zaliczyć. Błędem jest zatem mniemanie osób, które twierdzą, iż doświadczenia takie udają się tylko na kobietach anemicznych, słabowitych i nerwowo rozdrażnionych. Panna Lucylla stanowczo do tej kategorii osób nie należy. Zresztą Donato magnetyzował w czasie czterotygodniowego pobytu w Warszawie wielu mieszkańców naszego miasta, prawie samych mężczyzn, a pomiędzy nimi znajdowali się bardzo silnie zbudowani młodzi ludzie.

Donato magnetyzował pannę Lucyllę wpatrując się w nią z pewnej odległości. Minuta, nieraz nawet pół minuty, wystarczało na to, żeby ją w głęboki sen pogrążyć. Młodzi ludzie przez Donata usypiani z początku trudno jego wpływowi ulegali, ale po pewnej „edukacyi magnetycznej“, jak ją pan Ochorowicz nazywa, zasypiali bardzo szybko, prawie prędzej niż panna Lucylla.

Pierwszem doświadczeniem, jakie Donato na swoim stałem medium wykonywał, było kompletne znieczulenie ramienia. Kilka poruszeń ręką magnetyzera nad ramieniem i przedramieniem panny Lucylli wystarczało, żeby z nich zrobić coś nieczulego i sztywnego, nakształt kawałka drewna; wszelkie szczypanie, klócie szpilką, żadnego bólu nie sprawiało. Dla wykazania do jakiego stopnia znieczulenie to jest posunięte, Donato przekłówał kilka cali długą szpilką całe przedramię w ten sposób, iż koniec jej wdrażał się na wewnętrznej stronie przedramienia, a wychodził na zewnętrznej; szpilka użyta do tego była zwykle gruba i tępa, tak, iż z trudnością przez ciało przechodziła. Panna Lucylla była przytem zupełnie przytomną, gdyż ze snu hypnotycznego przedtem się rozbudziła, pozostawiono jej tylko znieczulone ramię; a pomimo to, nigdy najmniejszego wyrazu bólu na jej twarzy nie można było dostrzedz. Zdaje mi się, iż dla wszystkich, którzy choć raz doświadczenie to widzieli, znieczulenie ramienia najmniejszej wątpliwości nie ulegało. Z tak przebitem ramieniem chodziła panna Lucylla pomiędzy publicznością, co zwykle 10—15 minut trwało, a ramię jej było ciągle sztywne i prawie wcale nie opadało. Otóż pytanie zachodzi: czy można w okolicznościach normalnych utrzymać ramię w stanie naprężenia przez tak długi przeciąg czasu? Mnie się zdaje, że nie.

U osoby zahypnotyzowanej można słuch do tego stopnia przytępić, iż najgłośniejszy krzyk, a nawet wystrzał z pistoletu, żadnego wrażenia na niej nie robi, albo naodwrot, zaostrzyć go tak dalece, iż szept niesłyszany przez nikogo w pokoju, usłyszany i powtórzony będzie przez medium. Donato w ten sposób doświadczenie to demonstrował, iż wykonawszy pewne ruchy ręką nad uszami osoby hypnotyzowanej, wprost do jej ucha potężnym głosem krzyczał; nigdy najmniejszej reakcyi, dowodzącej, iżby osoba słyszała, nie dostrzeżono. Inne znowu, podobne do poprzednich, ruchy rękami, zaostrzały do wysokiego stopnia słuch w medium. Zawiązywał wtedy Donato oczy i uszy chustką, zatkawszy poprzednio te ostatnie wata, i szeptał do ucha wyrazy tak pocichu, iż żadna z osób obecnych, które uszy swoje nadstawiały, nie słyszeć nie mogła, a jednak medium wszystkiego dośłyszało, gdyż na żądanie całe zdanie powtórzyło. Żeby nie posądzano ich o zmwowę i oszustwo, Donato zwykle prosił parę osób z publiczności, żeby mu parę frazesów powiedziały, i te pannie Lucylli powtarzał. Doświadczenie to zawsze się udawało. Objaw ten był dobrze znanym przez Braid'a, a nawet próbował on zaostrzyć słuch osobom źle słyszącym; podobno w niektórych razach udawało mu się to, i tak osoba, która w stanie normalnym nie słyszała bicia zegarka w odle-



głości trzech stóp, tenżesam zegarek we śnie hypnotycznym w odległości trzydziestu pięciu stóp usłyszała i na żądanie skierowała swoje kroki ku niemu.

Podobnie jak znieczulenie słuchu, wywołać można w śnie hypnotycznym znieczulenie wzroku. Odpowiednie ruchy przed oczami zahypnotyzowanej sprawiają, iż są one zupełnie otwarte, ale żadne poruszenia przed nimi, nie wywołują mrugania, a nawet zapalona zapalka woskowa, tuż przy rękach trzymana, nie sprowadza najmniejszych odruchów ze strony powiek.

Bardzo ciekawe są objawy kurczowe, które Donato na swoich mediach wywołuje. Może on dowolnie sprowadzić kurcz we wszystkich grupach mięśniowych w ciele. Sadza naprzykład swoje medium na krzesło i sprawia, iż nie może się ono wcale z niego podnieść, pomimo największych usiłowań. W podobny sposób zaleca on osobie zupełnie przytomnej, niezahypnotyzowanej, żeby uklękła, i wywołuje kurcz tego rodzaju w mięśniach uda, iż nie może ona wcale się podnieść na nogi. Czasem udaje się jej trochę wyprostować kolana, ale Donato jednym machnięciem ręki sprawia, iż napowrót na kolana pada i jest jakby przyklepioną do podłogi kolanami. Donato pokazywał to doświadczenie na dwóch lub trzech osobach jednocześnie i zawsze mu się ono udawało. Donato wprawiał w sen hypnotyczny koło stu osób w mieście naszym zamieszkałych i te same experymety na nich pokazywał, co na swoim stałem medium. Jednemu młodemu człowiekowi (zawsze młode osoby dobierał) włożył kapelusza na głowę i kazał go zdjąć, jak do ukłonu, ale wprzódy sprowadził kurcz palców prawej ręki; zdjęcie kapelusza stało się niemożliwym. W ten sam sposób podnosił on prawe ramię swojemu medium w górę i kazał się uderzyć; kurcz tego ramienia tak był silny, iż medium w żaden sposób nie zdołało zgiąć ręki tak, żeby mogło uderzyć.

Wstrzymanie mówienia, liczenia lub śpiewania, jest także chwilowym kurczem języka, wywołanym przy pomocy własności hypnotycznych. Donato kaze swojemu medium (brał do tego zwykle kogoś z tutejszych mieszkańców) głośno rachować, potem robi jakieś ruchy palcem przed ustami rachującego i ten albo w tej chwili liczyć przestaje, albo bełkocze coś zupełnie niezrozumiałego. Niektóre odpornejsze media potrafiły jeszcze kilka dalszych liczb wymówić, ale potrzebowały się bardzo na to wysilać i w końcu także przestały. Podobne doświadczenie na pannie Lucylli wykonywał Donato w następujący sposób: Zawiązawszy jej oczy i wprawiwszy ją w sen hypnotyczny, kazał jej śpiewać, potem stawał za nią w odległości dwóch łokci i jednym ruchem ręki w powietrzu wykonanym sprowadził, iż ona śpiewać przestawała lub napowrót zaczynała. Aby go o zmożenie nie posądzano, prosił kogoś z obecnych, żeby dotknięciem się jego ramienia wskazał, kiedy medium ma przestać śpiewać. To porozumienie się ręką w pewnej odległości jest rzeczą w wysokim stopniu zadziwiającą. Kiedy p. Lucylla była uszpaniona i stała twarzą do publiczności, Donato jednym ruchem ręki, wykonanym poza jej plecami o dwa kroki, nakazał jej śmiech i wybuchła ona głośnym śmiechem; śmiech ten ustawał wtedy dopiero, gdy Donatio jakiś inny ruch ręką wykonał. Wszystkie te ruchy były do siebie napozór zupełnie podobne, a jednak wywoływały nieraz zupełnie przeciwne skutki. Jeżeli zahypnotyzowany nie mógł mówić i na zapytania zadawane nie odpowiadał, to wtedy ruchy w okolicy krtani jego robione, przywracały mu mowę. Jeden z hypnotyzowanych, któremu Donato rachować zakazał, nie mógł jeszcze przez całe pięć minut po skończonym doświadczeniu ani słowa wymówić, bełkotał tylko wyrazy niezrozumiałe. Z tego widzimy, iż skutki wpływu hypnotycznego rozciągają się nieraz długo, dłużej aniżeli sobie tego życzymy. Powinno nas to naprowadzać na myśl, iż hypnotyzm nie jest niewinną zabawką, i że kto chce się nim zajmować, powinien być dobrze z obawami hypnotycznymi obeznanym. Zdarzały się wypadki, iż osoby zahypnotyzowane, zamiast snu, wpadały w furję, rozbijały wszystkich i wszystko, co na drodze spotykały, i trzeba je było siłą od takich gwałtownych czynów powstrzymywać.

Niektórzy z młodych ludzi hypnotyzowanych przez p. Donato w Warszawie byli po skończonym doświadczeniu w wysokim stopniu rozstrojeni, nawet osłabieni; jeden z nich, p. G., nawet długo nie mógł przyjść do siebie. Zależy to prawdopodobnie od wprawy, gdyż p. Lucylla czuła się po takich parogodzinnych doświadczeniach zupełnie zdrową i ani osłabienia, ani najmniejszego rozdrażnienia, nie można w niej było dostrzedz.

Ze wszystkich zjawisk hypnotycznych najbardziej godnym uwagi jest sposób, w jaki przyprowadza się do przytomności osoby uszpane. Dosyć jest silnie dmuchnąć w czoło między oczy, a przytomność umysłu w tej chwili powraca; do tego dmuchnięcia użyć można tak dobrze ust, jak miecha. Jakim sposobem tak małoznaczna na pozór przyczyna, jak prąd powietrza na czoło, może przyprowadzić równowagę w organizmie, który tak bardzo dalekim jest od stanu normalnego: pojąć trudno.

Braid budził media hypnotyzowane przez naciśnięcie na gałkę oczną, a Charcot, który wyłącznie doświadczenia czynił na kobietach, jeszcze innego używał sposobu w tym celu.

(Dokończenie nastąpi)

## NOWINY PARYZKIE.

Śmierć Littré'go. — Jego stanowisko prawdziwe w nauce. — Wybory do Akademii. — Opozycja biskupa Orleańskiego. — List jego do Littré'go. — Życie i prace naukowe tego ostatniego. — Powierzchowność i charakter człowieka. — Pośmiertne rewindykacje komunistyczne. — Wahadło opinii we Francji. — Powrót Sary Bernhardt z Ameryki i hyperboliczne uniesienia reporterów z tego powodu. — Cztery wiatry ducha; dwa nowe tomy dzieł Wiktora Hugo. — Kilka słów o wydawnictwie kompletnych dzieł poety. — Rachunek i poezja. — Co się zawiera w dwóch nowych tomach? — Genesis Czterech wiatrów. — Jak pracuje Wiktor Hugo? — Stare papiery i nowe dzieła. — Przegląd czterech ksiąg i Czterech wiatrów.

Paryż, w Lipcu 1881 r.

Jeszcze jeden z gorąco i pilnie pracujących na polu literackim we Francji zstąpił do grobu; a na jego mogile, dwa światy — nowy i stary — ostatnią stoczył walkę o to: komu rzeczywiście powinny się należeć zwłoki nieboszczyka? Dochodzimy do tego, że pod opieką officialnej wolności nie można tu ani żyć, ani umierać swobodnie...

Zmarły uchodził za życia za uczzonego człowieka — co było prawdą; za filozofa, co również było niewątpliwą rzeczą; za jednego z przedniejszych koryfeuszów Pozywistycznej Szkoły we Francji, co nie jest zupełnie dokładnie — i nakoniec za niedowiarka a nawet ateusza, co było wierutnym fałszem.

Littré, bo o niego tu właśnie chodzi, znakomity tłumacz dzieł Hippokratesa i autor bardzo szacownego *Dykcjonarza francuzkiego języka*, był to człowiek cichej, potulnej natury — prawdziwy Benedyktyn, — co do cierpliwości i wytrwania w pracy — niezmiernie uparty szperacz, we wszystkim, co się tyczy nauki i poszukujący wiecznie i ciągle prawdziwych i istotnych dowodów, mogących usprawiedliwić każdy krok postawiony naprzód. Niezmierny erudyta, zamknięty w sobie i jakby przykuty do swego stołka, mało mówny i nieszukający stosunków światowych, człowiek wyjątkowy we Francji, gdzie wlewanie się zbyt czyste nazewnątrż jest charakterystyczną cechą narodu.

Uporeczywie przywiązany do pracy, Littré żył tylko w niej i przez nią. Wierzący głęboko, nie praktykował wcale przepisów religijnych, a ztąd uchodził, w mniemaniu wielu bardzo ludzi — za niedowiarka, ateusza. W nauce bardzo ścisły, i jak mówiliśmy, szperacz, nie dopuszczał żadnego ideału — któremu na dziedzinę zostawiał poezję i belletrystykę — i skłaniał się widocznie do pozytywizmu i racjonalnych dowodów, we wszystkim, gdzie chodziło o naukę. Ten jasny i głęboki przedział pomiędzy rzeczami nauki i religii, a raczej — rozumem i wiary, usprawiedliwiał w pe-

wnym względzie mniemanie o niedowiarstwie Littré'go.

Pamiętne jest zajście z nim X. Biskupa Dupanloup'a, z powodu wyborów Littré'go do Akademii Francuzkiej. X. biskup orleański, gorący i wojujący katolik, w sprawie sumienia nie rozumiał żadnych ustępstw, nie znosił pobjazania. Obojętność Littré'go, jako wyznawcy religijnego, złączona z jego racjonalizmem naukowym, były ziarnkiem soli w oku pałata; jako członek akademii, uważał on sobie za obowiązek sprzeciwić się wyborowi Littré'go.

Wiadomo, iż jak potężną energią X. Dupanloup podwakoć oparł się wprowadzeniu do Akademii Francuzkiej, nieboszczyka Littré'go. Raz pierwszy, było to jeszcze w 1863 r., potrafił on usunąć go od wyborów; ale tegoż samego dnia wieczorem znakomity ten człowiek i przykładowy kapłan napisał do Littré'go list, który dotąd nie był jeszcze ogłoszony w żadnym piśmie. List ten, natchniony najwznioślejszym i najdelikatniejszym uczuciem godności człowieka, pokazuje nam duszę wielkiego biskupa w całej jej, nieposzlakowanej, prawości.

Czuję, że tego rodzaju pismo może nas pocieszyć wobec upodlenia i czołgania się współczesnych nam ludzi, wywołać w nas gorzki żal za znakomitymi mężami, którzy na pole gorących walk i ścierania się myśli, przynosili tak wzniosłe i szlachetne uczucia serca: podaję więc tu list X. Dupanloup'a w tłumaczeniu, niestety! dalekiem od oryginału, a przecież mam przekonanie, że i w tej bladej kopii potężnego oryginału znajdują się widoczne ślady, jakim to oddycha duchem i jaki to przynosi zaszczyt, i biskupowi, który list pisał, i filozofowi, który dał powód do listu.

„Z Paryża, Czwartek w wieczór, 23 Maja 1863 r.

„Panie, jeżeli jesteś sprawiedliwym dla mnie, to będziesz wierzył szczeroci tego uczucia, które mnie prowadzi do napisania niniejszego listu. Nie mogłem przenieść tego, abym nie wyznał W Panu, zanim dzień się dzisiejszy skończy, smutku, który mię przejmuję i uczuć, które napędniają mą duszę.

„Nie myśl wszakże, iż przyczyną tego smutku mogą być oskarżenia, jakie rzucono na mnie. Te oskarżenia przewidziałem naprzód, i najmniejszego nie zrobię kroku, aby je odwrócić. Dostatecznym jest dla mnie przesvědzenie, że nie zasłużył na nie.

„Smutny jestem, myśląc o W Panu, myśląc, że musiał walczyć przeciw człowiekowi, którego przymioty budzą mój szacunek; że zranił człowieka, którego chciałbym pocieszyć, i że pomnożył jeszcze cierpienia tych, którzy cię kochają. Pozwól więc wyciągnąć ku Tobie dłoń moją, pozwól Cię prosić, abys z powodu wspomnień dnia dzisiejszego nie odrzucał religijnego poszukiwania prawdy, w tych ważnych kwestyach, które są najwyższą sprawą całego żywota ludzkiego. Bo ten trud szlachetny wznioślejszym jest nad wszystko!

„Pozwól, niech gorąco wezwę na pomoc tego Boga, w którym czczę i wyznaję naszego wspólnego ojca, aby on cię oświecił w tem, co jest prawdą, a co jest wątem w swoim zwątpieniu. Pozwól i to dodać jeszcze, aby ci on odkrył zarazem całą czystość mych chęci i całą szczeroci szacunku, który chowam dla osoby i charakteru W Pana.

„Racz przyjąć, Panie, wyrazy szacunku  
„Felix, biskup orleański“.

Przy otwarciu następnego wakansu w Akademii Littré wybrany został pomimo oporu biskupa orleańskiego.

Littré sposobił się najpierw do medycznego zawodu; skończył już nauki i doktoryzował się, ale nigdy nie był praktykującym lekarzem. Literatura i językoznawstwo pociągały go silniej ku sobie, niż zawód lekarski. „Przejęty duchem i wysokimi zaletami stylu pisarzów tak zwanej szkoły *du Port Royal*, na której czele stał Pascal, Littré przejął się ich metodą języka i myśli. Posiadał on styl zwięzły, jasny i wielką jedność wysłowienia na piśmie, bo do ustnej rozmowy, przy skromności swej, niechętnie przystępował. Pracował i pisał wiele. Najważniejszymi jego



dzielami, są: tłumaczenie, o którym już wspomniałem, dzieł Hippokratosa, tłumaczenie wzorowe, i *Dykcjonarz etymologiczny francuskiego języka*. W ostatnich czasach pisał wiele artykułów w *Przeglądzie pozytywistycznym*, którego był dyrektorem honorowym, — artykuły poświęcone rozbirowi kwestyj najważniejszych nauk przyrodzonych i filozofii; rozbierał naukę Darwina, na którego wszystkie konkluzje nie godził się wcale, lecz bynajmniej nie odrzucał samej zasady postępowej ewolucji istot.

Litré był niezmiernie brzydkim; do ostatnich chwil zachował długie, czarne, szorstkie włosy, bez żadnej prawie siwizny. Twarz była wygolona, zawiedła, śniada i poorana głębokimi zmarszczkami. Oczy małe, czarne, głęboko zapadłe, świeciły zpoza ogromnych okularów. Cała postać była jakby skarykaturowanym typem zakrystyana.

Litré, chociaż, jakśmy mówili, nie zachowywał wcale przepisów religii, co do formy zewnętrznej, był jednak w gruncie wierzącym; dobroczynny, pomagał chętnie ubogim. Żona zaś i córka jego są pobożnymi bardzo, i biskup orleański, mówiąc w swym liście, iż z żalem zwiększył cierpienia tych, którzy kochają Litrégo, chciał wskazać na te dwie, prawdziwie święte i godne niewiasty.

Wycieńczony i zużyty pracą, Litré oddawna już chorował; zgasł na wyczerpanie sił. Pogrzeb odbył się religijnie; ale ci z przyjaciół Litrégo, którzy go znali jedynie z pism naukowych i z pewnych poglądów filozoficznych, postanowili gwałtownie protestować na pogrzebie stwierdząc fakt niedowiarstwa zmarłego. Ten hukacz anti-religijny pozostał przecież bez żadnego rozgłosu i nie sprowadził nic innego, prócz skandalu, który boleśnie dotknął rodzinę Litrégo. Potrzeba znalezienia powodu do osobistego wysadzenia się naprzód, pewnych podrzędnych i głupich osobistości, sama tylko mogła natchnąć tę myśl, iż umierającemu gwałtem narzucono religijny obrzęd.

Dziwny to kraj ta Francja i dziwny naród! Pomiać ludzką sławą, rzucić w błoto największą zasługę, lub cnotę — jest równie dla nich łatwe, jak pod obłoki wynosić, najpłochszą istotę, i najmierniejszy talent, byleby to schlebiali ich chwilowej mrzonce. Czasem, na widok tak rozpasanej lekkości, oburzenie pomimowoli podnosi się z serca i do ust się cisnie w cierpkim i gorzkim słowie; ale najczęściej człowiek, zniechęcony, odwraca oczy i myśli... Oto jeden przykład jeszcze tej chwiejności opinii, którą lała czem wzięć można, na podłą przynętę — na plewę nawet.

Wiedzą już czytelnicy „Bluszczu“, bo o tem mówiłem w swym czasie, jak panna Sara Bernhardt opuściła Teatr Francuzki, i z jakim hukiem i trzaskiem rozstała się z najpierwszą sceną swoich powodzeń i popisów w Paryżu. Wówczas, kilka miesięcy temu, nie zostawiono na niej, jak to powiadają, suchej nitki. Osądzona, osztrafowana, pojechała do Ameryki próbować szczęścia. Udało się, czy nie? Kto dojdzie prawdy? ale p. B. powraca z tej wyprawy, i posłuchajcie: jak reporterowie tychczasowych dzienników, które świstały w kłuczyki przy odjeździe, zdają sprawę o tym powrocie:

„Przybycie panny Bernhardt do Hawru stało się powodem prawdziwie olbrzymiej manifestacji. Więcej niż pięćdziesiąt tysięcy osób tłoczyło się na przestrzeni trzech kilometrów może, machając kapeluszkami, chustkami, czem kto mógł, i wrzeszcząc rozgłośnie hurra! Nie myślcie, aby wielu mocarzy świata spotkało podobne przyjęcie! Ale bo tutaj, wszyscy mają nie tylko wielkie uwielbienie dla talentu panny Bernhardt: Hawrzanie wdzięczni są jeszcze wielkiej artystce, iż pomimo znużenia tak w długiej podróży postanowiła dać przedstawienie na dochód Towarzystwa ratowania tonących (*Société de Sauvetage*)“.

Następują dalej szczegóły i wiadomości o tem: jak oczekiwano powrotu, jak ów reporter wraz z innymi pojechał na jej spotkanie najętym statkiem; jak potem wrócili, jak się nawoływali, ścisłali; jak ją odprowadzono do mieszkania, przygotowanego naprzód staraniem przyjaciół, i...

zapewne krewnych... słowem: była to kronika tryumfalnego wjazdu Sary do owego miasteczka... w pomysłnej podróży do Paryża!

(Dokończenie nastąpi).

## WYSTAWA ZABYTKÓW

### PRZEMYSŁU PIĘKNEGO

w Pałacu Brühlowskim w Warszawie.

(Dalszy ciąg)

Wszystkich numerów w oddziale ceramiki krajowej naliczyliśmy 62. O wiele bogatszym był oddział zagraniczny (Numerów 543), podzielony na 6 klas: a) fajans, majoliki, b) porcelana chińska, c) saska, d) berlińska, f) wiedeńska e) i g) różnych fabryk i krajów, w tej klasie i sewrska, angielska i skandynawska; piękne są tu Wedgwooda Nr. 117 i 118 i Turnera Nr. 124. Porcelana chińska zajmowała 38 numerów; nie była wykwintną, ale uszła. Co do smaku, nie wiemy czy wiedeńska nad innymi niemieckimi, choć mniej sławna, nie górnie. Na całej wystawie nie spotkał się okaz tak delikatnego, przeszlicznego, jak Nr. 399. Porcelana saska najobfitsza; z dawniejszych czasów głównie znajduje się w zbiorach p. Daniela Lessera i D-ra Brzezińskiego; z nowszych często spotykać się daje i poza wystawą.

W dziale *Szkła* (numerów 79) niewiele własnych rzeczy mogliśmy okazać; najznakomitsze były wyroby filigranowe weneckie, a na czele ich stał piękny kielich z przykrywką i podstawką srebrną z XVIII, własność hr. Krasieńskich (Nr. 491). Wiele tu mieściło się zabytków szlachetnych z herbami umyślnie rzeźbionymi; niektóre ciekawe, nawet ładne, najwięcej dziwnych, z czasów zepsutego już smaku. Szkło czeskie dziwnie jakoś blade wystąpiło; spodziewaliśmy się po niem czegoś więcej. Głównymi wystawcami byli: Glogier, Krasieńscy, Potulicki, Rusiecka, Sarnecka, Zamojscy.

O brzozy krajowe nie pytajcie. Zegar z Lublina: (Nr. 541) to może jedyny większy okaz. W tym licznym i zajmującym dziale (163 numera) najwięcej wystawili: Finot, konsul gen. Rzpltej Francuzkiej w Warszawie, Giecwiczowa, Krasieńscy, Przedziecki i Zamojscy. Panował tu Ludwik XV, Dyrektoryat i „Empire“; wyroby były z małym wyjątkiem francuzkie. Uderzyły nas przed innymi Nr. 598, 610 (niezmiernie wdzięczny), 612, 663 katalogu.

Wyroby złotnicze zszeregowano w 8 gromad: a) kościelne; b) stołowe; c) puchary, konwie, kubki; d) tace i misy; e) szkatułki, pudełka etc., f) kandelabry, g) biżuterie i zegarki, h) różne. Wszystkich numerów w złotnictwie było 174, co przy daleko większej obfitości przedmiotów dział ten wypełniających w życiu powszednim, porównane z bronzami, dość skąpo się przedstawia. Za ilość wszakże zapłaciła nam jakoś. W gromadzie wyrobów kościelnych (ogółem numerów 21) znajduje się wspaniała monstrancja gotycka (Nr. 690), wyrób bawarski, prawdopodobnie augsburski, gdzie byli sławni złotnicy w XVI i XVII w. To istotne arcydzieło przemysłu pięknego stanowi własność archidiecezyi warszawskiej, podobnie jak Nr. 692, piękny krzyż drogiemi kamieniami wysadzany, z wyobrażeniami Ewangelistów. Poza warszawską jedna tylko jeszcze dyecezya płocka dostarczyła swoich okazów (Nr. 695 i 696); jeden z nich jest wyrobem nowoczesnym. Polskie wyroby znajdują się pod Nr. 693, 701, 702 i 704, a pochodzą z XVI, XVII i XVIII w. Zamknięty w przeszłości, pełen zasług artysta, p. Alex. Lesser dostarczył na wystawę galwanoplastycznego odlewu patyny znajdującej się w kolegiacie kaliskiej. Rysunek na tej patynie przedstawia *Mieczystawa Starożytnego ofiarującego kielich S-mu Mikołajowi*, patronowi Kościoła (Nr. 705). Najdawniejszym wyrobem w gromadzie kościelnej, już nie-

tylko wyobrażonym, ale rzeczywiście znajdującym się na wystawie, był bronzowy, złożony i emaliowany Relikwiarz katedry kruszwickiej, podarowany przez znanego badacza epoki piastowskiej, p. Kazimierza Stronczyńskiego, niegdy Rusieckiemu, dziś własność p. Maryi Rusieckiej. Najniewątliwiej dzieło to do XIII w. odnieść można i katalog na zupełną tu wiarę zasługuje. W gromadzie tej należy się jeszcze wzmianka zaszczytna Trybularzowi srebrnemu, roboty weneckiej z w. XIV, nietyle z powodu zrębów całości, ile z powodu niezmiernie pięknego rysunku ścian i delikatnego ich wykonania (Nr. 708).

W gromadzie *Zastaw i naczyń stołowych* celował nad innymi oryginalnością i syntetycznością pomysłu Nr. 709, własność pana Zyberg-Platera, wyrób augsburski z r. 1722. Jestto owa zastawa, za którą wieść publiczna kazała jednemu z agentów angielskich ofiarować równoważność w złocie. Wyrobu polskiego były na wystawie łyżki srebrne z pięknymi napisami; naliczyliśmy ich 34. Z tych 14 należy do barona Finot. Oprócz łyżek dostrzegliśmy tylko tylko 2 wazy, własność p. K. Przedzieckiego (Nr. 719) i cukiernicę p. Kolasieńskiego (Nr. 727) polską. Najbogatszym, najbardziej technicznie zajmującym, okazem był sztuciec szczerozłoty Franciszka Krasieńskiego (Nr. 743).

Oryginalnością i dobrem przeprowadzeniem pomysłu odznaczały się dwa dzbany augsburskie wytłaczane (Nr. 766); rysunek jednego zrobiony jest z twarzy męskiej, drugiego z kobiecej, oba z dobrą charakterystyką; należą do ordynacyi Krasieńskich.

Wyroby krajowe mieściły się pod Nr. 747, 749, 752, 767, 768, 770, 771, 779, 780, 781 i 782. Zpomędzy nich uwagę naszą zwróciły: Puchar cechowy szklarzy warszawskich (Nr. 752) i Kubek gdański Nr. 781, własność p. Wilhelma Rau'a.

Przesliczną, z otoku swego i wypukłorzęby na dnie, była taca srebrna Nr. 790, własność hr. Ludwika Krasieńskiego; najokazalszą taca z Ahaswerem i Esterą i z medalionami sześciu cesarzów rzymskich, wyrób augsburski, własność p. Sulatyckiego, Nr. 792. Dwa numera następne oraz Nr. 798 zajęte były na wyroby krajowe p. p. M. Zawiszynej, Ludwika Krasieńskiego i J. Bersohna.

Z gromady *Szkatulek* etc. najdawniejszym zabytkiem była szkatułka z dwiema figurkami (Nr. 806), wł. ordynacyi Krasieńskich. Wyróżniały się nad inne: kałamarz p. Platera (Nr. 804) i pudełko srebrne p. Kolasieńskiego (Nr. 815), oba wyroby gdańskie, pierwszy dawniejszy.

Historyczną wartość ma Zapinka p. Zyg. Glogera, z w. XIV (Nr. 827). Oryginalne są Klejnoty korony szwedzkiej, p. Jana Zawiszy (Nr. 843). W oddziale biżuterii wcale okazałe wystąpił p. Wajnert z Warszawy z przedmiotami sklepowymi. Szkoda, że wszystko to były wyroby zagraniczne.

W gromadzie *Różnych* zajęły nas: Pas srebrny złocisty z Przeworska z wieku XVI, (Nr. 848), własność p. Lud. Krasieńskiego; podobnie Pas z Pogoń, wyrobiony w Polsce, wł. p. Platera (Nr. 850a); trzy Berła srebrne pozłacane Akademii Zamojskiej z napisami łacińskimi (Nr. 854) i Budygan, własność p. Jana Zawiszy.

Z działu V, liczącego, również jak poprzedni, 8 poddziałów, niewiele prawdziwie ładnych rzeczy wydobyć było można. Zaznaczamy 4 berła: 1-0 z czasów Zyg. Augusta z portretem króla (Nr. 880), własność p. Ludwika Krasieńskiego, 2-0 z zęba narwala, z Wystawy Starożytności w r. 1856 (Nr. 881) własność p. Rusieckiej; 3-0 podobne Nr. 883, roboty polskiej, własność p. Bisier i 4-0 Nr. 882, bardzo bogato rzeźbione berło Augusta II, wł. p. Rusieckiej. P. Alexander Lesser wystawił zajmującą Puskę z kości słoniowej (Nr. 897). Na uwagę w tym dziale jeszcze zasługują: dwie starożytne figurki chińskie (Nr. 872) własność p. J. Wertheimowej i wykładanie szkatułki indyjskiej Nr. 899, własność p. W. Potockiego, — oba przedmioty z kości słoniowej.

Wyroby miedziane i cynowe nie popisały się; w małych nawet muzeach niemieckich znajdują się lepsze, z XVI i XVII wieku pochodzące. Najbardziej zajmującym okazem była wielka konew



cynowa, roboty wrocławskiej Nr. 939, własność barona Finot. Pieczęć Nr. 351 niewłaściwie się w oddziale tym znalazła. Z wyrobów krajowych zaznaczamy dwa niepiękne lichtarze miedziane, Nr. 938, własność p. Sulatyckiego.

W oddziale marmuru historyczne zajęcia wzbudza model Posągu Augusta III na giełdzie gdańskiej, Nr. 949, własność p. Daniela Lessera. W oddziale kamieni wystąpiły trzy wyroby japońskie.

W oddziale żelaza znajduje się Walcownia do monet, własność niegdys Stan. Augusta, dziś p. Bisier (Nr. 958).

Zpomędzy wyrobów drewnianych uwydatniamy: Tabakierkę bukszpanową oprawną w złotą, dzieło rąk Tadeusza Kościuszki z r. 1803 dla Stefana Sokołowskiego, wł. p. Alexandra Lessera (Nr. 971); Kalendarz polski z w. XVII, p. Maryi Strzałeckiej (Nr. 973) i Talerz z Wystawy r. 1856, według podania, niegdys własność Jana Kochanowskiego, dziś p. J. Sulatyckiego (Nr. 975).

Wszystkich numerów w dziale wyrobów snycerskich i rytowniczych było 126. Równie jak i w dziale poprzednim pomiędzy przedmiotami należącymi do dawniejszych epok znajdowały się nieliczne nowoczesne, niewielkiej wartości.

VI. *Tkaniny* wystąpiły dość pokaźnie w 8 oddziałach a 42 numerach. Pomędzy przyborami kościelnymi, głównie z dyecezyi warszawskiej dostarczonemi, zwracał uwagę ornat czerwony aksamitny, Nr. 989. Wspaniały, delikatny pięknie zachowany gobelin z Tryumfem Marsa Nr. 1013, mający 86 łokci powierzchni, własność ordynacji Krasieńskiego jest zabytkiem europejskim. Makaty, tak niegdys u nas świetne, przedstawiały się dość ubogo. Nr. 1043, własność p. Daniela Lessera, wyobraża scenę niefortunnego oswobodzenia St. Augusta z rąk Kuźmy w nocy d. 3 Listopada 1771, przy Młynie Marymonckim.

Pasy, przeważnie polskie, Paschalisa w Kobylce i Mażarskiego w Słucku, choć źle pozawieszane, ilością (numerów 34) i jakością swoją dawały dobre wyobrażenie o tym zaginionym dziś już przemyśle krajowym.

Piękne napiersniki kobiece wystawił p. Alexander Lesser (Nr. 1098 — 1101).

Stare koronki p. St. Wołowskiej (Nr. 1,111 — 1,117) wzbudzały podziw — piękniejszej połowy rodu ludzkiego, która z większym niż inne przedmioty śledziła je zajęciem.

Do oddziału Haftów p. Zygmunt Glogier dostarczył dwóch starożytnych polskich okazów Nr. 1,120 i 1,121. Ciekawość wzbudzała w tym dziale latarnia japońska (Nr. 1,129) p. X. Zbyszewskiego.

(Dokończenie nastąpi)

## Korrespondencja zagraniczna.

Poznań, w Lipcu 1880 r.

Nareszcie, po długich zwłokach, błyska wyraźniej nadzieja bliższego już ukończenia gmachu muzealnego i pomyslnego rozmieszczenia zbiorów Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Na domu frontowym stanie wkrótce piętro, roboty postępują różnie, a płynące zewsząd ofiary pięknie stwierdzają tradycyjną Wielkopolską hojność. Nietylko zaś pieniężne datki zasilają rozpoczęte przedsięwzięcie: dary w ceglach i w drzewie budulcowem idą w parze ze składkami dobrowolnemi, miasto z prowincją walczy o prym: tu n. p. najpierwszy ze stolarzy poznańskich daje piękne drzwi frontowe, tam obywatel wiejski dostarcza najlepszego gatunku klinkierów. Słowem, ruch panuje nielada, świadcząc o czci naszej dla skarbu przeszłości, o miłości dla instytucji, która przyjęła odpowiedzialność i straż nad temi skarbami. Czynna gorliwość hr. Benzelstjerna-Engeströma jednocześnie przyspiesza wewnętrzne urządzenia muzealne. Pod jego też uprzejmem przewodnictwem naj-

lepiej zwiedzać można wnętrze gmachu, który stanie między nami jako piękny pomnik obywatelskiej hojności. Archiwum już jest zupełnie rozklasyfikowane, skatalogowane i ułożone, tak, iż niebawem korzystać z niego będą mogli ciekawych zabytków badacze. Biblioteka urosła już do 100,000 tomów, zbiór numizmatyczny liczy około 15,000 okazów. Dział nekroceramiczny oczywiście bardzo bogatym być musi w dzielnicy, gdzie pług cochwila uderza o starodawne urny i łzawnice, w dzielnicy, która, jak była dziejów kolebką, tak dziś najobfitszym jest historyi cmentarzyskiem.

Galerya obrazów zawiera nieoceniony dla historyi sztuki krajowej zbiór utworów pędzla polskiego. Zgromadził go baron Rastawiecki, złożył w darze towarzystwu Seweryn hr. Mielżyński. Choć mylnie twierdzono, że malarstwo zakwitło u nas dopiero na samym dziejów schyłku, za panowania Stanisława Augusta: znajdujemy tu dowody rychlejszego zbudzenia się sztuki krajowej. Wspomnijmy nieunikniony na Zachodzie *Taniec śmierci* z XVI wieku dalej obrazy z XVII w. Stroebła i Maliskiewicza. Epoka Stanisława Augusta ciekawego dostarczyła plonu: Bacciarelli'ego znalazło się tu do piętnastu utworów, między któremi portrety całej rodziny Poniatowskich; Lampi'ego jest sześć obrazów, Dolabelli pięć, Norblina zbiór niemały. Nie brak i dzieł Smuglewicza, Stachowicza, Czechowicza; są najlepsze obrazy Suchodolskiego. Nasz malarz Orłowski nie kryje się tu w biurku Telimena: występuje obok pejzażów Głowackiego, portretów Boratyńskiego, utworów pędzla Grassiego, Postempskiego, Brodowskiego, Hadziewicza, Zalewskiego. Wspomnijmy dwa *Wnętrza kościoła Panny Maryi Gryglewskiego*, *Portret Seweryna hr. Mielżyńskiego* Kaplińskiego, Piotrowskiego *Maryą Antoninę w więzieniu*. W ogóle jest tu 250 obrazów samych polskich artystów, nie licząc pięknych akwareli, licznych bardzo pastelów, oraz rysunków, w którym-to dziale z nazwiskami Moliniego, Kossaka, Lessera, Chodowieckiego, Łaszczewskiego często się spotykamy. Zyczeniem i nadzieją jest członków naszego Towarzystwa, aby społeczeństwo polskie raczyło uzupełnić zbiór tak szacowny płodami pędzla swego i talentu. Jeśli bowiem wszyscy niemal dawniejsi malarze są tu przedstawieni, z nowszych wiele pierwszorzędnych nazwisk nieobecnością świeci.

Tymczasem rzeźbiarze dają w tej mierze dobry przykład, śląc dzieła swego dłuta w ofierze. Brodzki, którego piękny *Biust Kopernika* już się tu znajduje, zapewne doda jaką nową ofiarę. Godębski nadesłał już *Amorka* na zółwiu i główkę kobiecą, Lenartowicz — gipsowe odlewy swych płaskorzeźb brązowanych, przedstawiających *Mekę Pańską*, które znajdują się w naszym księstwie, w kościele Czackim, gdzie je umieściła pobożność kollatora, hr. Marcellego Żółtowskiego. Rygiel już zapowiedział dar swej roboty; hr. Jadwiga z Hausnerów Łubieńska przysyła z Florencyi *Kobietę*, której główka charakterystyczna zjednała młodej rzeźbiarce medal złoty. Nie wątpimy, że i inni artyści pójdą tym samym śladem, i wzbogacą tutejszy nasz przybytek i skarbnicę sztuki.

Sala, gdzie się odtąd odbywać będą posiedzenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk, już jest wykończoną w części; brak nietylko niektórych ozdób, oraz popiersi które uprzytomniać tu będą mężów zasłużonych w naszej dzielnicy. Ma to być pociękad mały Panteon Poznański: naprawo popiersie Seweryna hr. Mielżyńskiego, dobroczyncy Towarzystwa, stanie między biustami dwóch wielkich mecenasów ruchu umysłowego w naszym księstwie: Edwarda hr. Raczyńskiego i Tytusa hr. Działyńskiego. Przy nich Karol Libelt i Karol Marcinkowski, dalej generał Franciszek Morawski, x. prałat Koźmian, Stefan Garczyński, x. Franciszek Malinowski, Jędrzej Moraczewski i inni. Niektóre z tych popiersi już są ustawione, inne niebawem wykończonemi zostaną, jak n. p. obu Śniadeckich. A tymczasem z pięknych medalionów spoglądają już na wchodzącego poważne oblicza zasłużonych ziemian naszych, Onufrego Kopczyńskiego z Czerniejewa, Staszica z Piły, wojewody Stefana Garczyńskiego. Wraże-

nia ogólne tej głównej auli nadzwyczaj przyjemne, a szczegóły starannie wykonane, na podstawie archiwalnych zabytków (jak n. p. herb miasta Poznania), dodają harmonii i znaczenia całości. Spodziewam się, że przed zimą będę mógł jeszcze nadesłać wam bliższy opis, i przybytku samego, i zabytków w nim zgromadzonych.

Zapał, z jakim całe nasze społeczeństwo obecnie się zajmuje ostatecznym wykończeniem zewnętrznych i wewnętrznych urządzeń tej skarbnicy przeszłości, ma źródło swoje w głębokim smutku, jakim nas przejmują widok tego co się u nas dzieje i na co się zanosi. Ziemi nie staje pod stopami naszymi; duch tem skwapliwiej tuli się do pamiątek i pomników lepszych dawnych czasów. W przeciągu bieżącego półrocza straciłmy więcej ziemi, aniżeli przez czas całego minionego roku, a oprócz ogólnego, liczebnego uszczerbku w morgach, ponieśliśmy jeszcze tem dotkliwsze ujemy w samychże miejscowościach, stanowiących wielowiekowe warownie rodowe. I tak Działowscy oddali w ręce niemieckie wieś Pilewice, na której siedzieli od lat pięciuset; Szoldrscy sprzedali Popowo, włość będącą od trzech wieków w ich posiadaniu. Świeżo znów jeden z najpiękniejszych majątków w Księstwie, Chocieszewice, wyszedł z rąk książąt Radziwiłłów, aby przejść na własność niemieckiego spekulanty. Włość ta wspomnianą jest w historyi już w XVI wieku za czasów wojny domowej po śmierci króla Ludwika. Tędy szła przez czas długi ważna droga handlowa, której Władysław Jagiello inny nadał kierunek. Na początku XVI wieku Chocieszewice przeszły w ręce Konarzewskich, później zaś należały do Mycielskich, niegdys tak potężnych, bogatych i licznych w dzielnicy naszej, dziś zaś rozproszonych i po większej części zubożonych. Ród ten za dni lepszych odznaczał się osobliwą starannością i gustem w utrzymywaniu i ozdabianiu swych włości. Wszędzie piękne wznosili gmachy, urządzali ogrody, znaczyli ślad swój wzrostem cywilizacyi. I w Chocieszewicach stanął pałac wspaniały, piękny wokoło wzrósł ogród, podniosło się rolnictwo, zasłynęło polowanie. Po śmierci hr. Teodora Mycielskiego i abył te piękne włości książę Wilhelm Radziwiłł, z linii Berlińskiej, ożeniony z hrabianką Katarzyną Rzewuską, córką hr. Adama i żony jego ks. Daszkow. Niestety, piękna Ukrainka Rusalka nie upodobała sobie płaszczyzn Wielkopolskich, choć sama na stepowej wychowana równinie. I tak jedna z pereł gleby naszej wyrzuconą została na śmietnik germańskiego targowiska. Smutne to, i bardzo smutne, a z usunięciem się tak znacznego filaru większej własności, zda się, iż całe sklepienie zaczyna się już ryzować....

(Dokończenie nastąpi).

## ŻYCIE POD ZWROTNIKIEM

przez

Sygarda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Trywialne zdarzenia życia codziennego są ulubionym przedmiotem jej ruchliwego języka. Najwymowniej plecie o miłości.

Jej wychowanie, nabyte w klasztorze, ogranicza się na czytaniu, pisaniu, początkach rachunków, odrobinie muzyki i biegłej znajomości zaslug i czynów kilku świętych patronów. Historyi, nawet ojczyściej, nigdy nie czytała, o geografii i etnografii tyle umie, ile się nauczyła naocznie, podróżując z Hawany do miejsc kąpielowych. Taką gąską jest zdolną zapytać nas: czy z Francyi do Anglii się lądem jedzie, czy w Polsce także krowy trzymają, czy cudzoziemcy w Boga wierzą? O kunszcie i literaturze nigdy nie słyszała. Złośliwi niemieccy koloniści na Kubie zwykli utrzymywać, że zimnej wody nigdy do umywania nie



używa, tylko na twarz nieumytą kosmetyki nakłada, którym białą swą płeć zawdzięcza. Zamilowanie w pudrze, w bielidłach, różu i wszelkiego rodzaju smarowidłach do twarzy, dzielają wszyscy zamożni wyspiarze, bez różnicy płci, a poranna garderoba elegantów Hawany trwa tak długo, jak panińska.

Daleko seniorce do doskonałości, jednakże pomnąc, jak ją hojnie przyroda pod względem fizycznym uposażyła, jaką jest wierutną kokietką i bałamutką adoracyi chciwą, trzeba się wyświadać, iż trudnoby o lepszą rozrywkę od krótkiego dyalogu w cztery oczy z senioritą, albo spaceru na Paseo, jeśli dyskretna *duenna*, co zawsze jak cień towarzyszące naszej towarzyszy, zechce w stronę przeciwną się patrzeć.

Po zamążpójściu staje się senora posłuszną małżonką, widującą męża rzadko, a jeszcze rzadziej z nim rozmawiającą. On spędza dni i pieniądze marnotrawi poza domem; ona pilnie obrządków religijnych przestrzega i zgorszenia publicznego nie daje. O jej życiu zakulisowem rozmawiać z języki plotą; lecz nie wypada wszystkiemu wierzyć, co się słyszy. Sztynna w salonie, senora staje się żywą i przyjemną w poufalszem kółku. Winszuje każdemu, kto miał szczęście się raz do takiego kółka dostać, z którego fałszywe, czeże hiszpańskie komplimenta na godzinę usunięte zostały, a pannom się udało duenne z pokoju wywalić. Rozmowa płynie swobodnie, nie sięgając pod olimpijskie stropy, lecz ziemi się trzymając. Nie brak jej attyckiej soli dowcipu, nie brak i hiszpańskiej, bo senory omawiają z dziwną swobodą przedmioty, nawet w myślach Polek omijane. Nie jest to swoboda nieskromności, lecz naiwności i zwyczaj. Tak mogli sobie pierwsi ludzie w Raju rozmawiać, gdy ani grzechu ani wstydu nie znali.

Muzyka, mianowicie gitara, śpiew, aromat papierosów z *Vuelta de Abajo*, opowiadania pełne prostoty, do wschodnich klechd podobne, klekot kastanietów i wachlarzy, żywy takt i pyszne figury fandanga i bolera uprzyjemniają wieczorek. Noc letnia mija strzałą, a gdy wkońcu głos ponurej północy ozwie się z wieży, za kapelusz wziąć każe i odejść, opuścimy zebranie z westchnieniem i jego wspomnienia nigdy nie stracimy. Żal nam, że lepszy świat kreolski niechętnie cudzoziemca przez swe chłodne, etykietalne salony do zabaw poufalszych wpuszcza, bo już drugiego podobnego wieczorku nie zakosztujemy.

Zanim Hawanę opuścimy, rzucmy jeszcze jedno spojrzenie na jej panoramę. Bielsza od mleka spoczywa sobie nad szklaną zatoką, cała obramowana szmaragdami zieleni palmowej i srebrem piasków nadmorskich. Otwórzmy żaluzie, aby się napoić widokiem gór nad nią panujących i w bór odzianych, co pierwsze różane promienie jutrzeńki chwytą. Równinę naokoło stolicy powódź mgły porannej zalewa, a wzgórze sterczące z jej chwiejnego, siwego morza, jak wyspy korallowe wyglądają. Krąg słoneczny podnosi się ponad wierzchołki archipelagu. Mgła złota i purpurowa pryska w obłoczki, podlatujące nakształt roju krasnych motyli. Palmy, sawanny, miasto—budzą się wesoło. Mamy rzeźwy, gwarny poranek kubański, trwający do dziesiątej godziny przed południem, pełen ruchu ulicznego, interesów, wycieczek spacerowych. Potem spiekota, puste ulice i cisza grobowa, aż do wieczora.

Gdy zgasł w oknach i na dachach pożar rumiancy zachodu, bogaty koloryt wieczorny z nieba spelzł, a żółty, rogaty księżyc lotne obłoki orze, wtedy grzmi w wonnej atmosferze rozgwar tłumów wszelkiej barwy ciała. Murzyni bawią się, jak dzieci. Kreolskie gitary i mandoliny dzwonią

pod balkonami, w takt *joty* czyli arragońskiego lub hawańskiego tańca, odbywającego się na tafliowym bruku. Z balkonów i dachów płyną trele andaluzyjskich „romansos“, głośnie i cichsze naprzemian, podnoszące się i opadające tonem i siłą nakształt fal, stopy zamku Moro całujących. Gdy wkońcu tertulie przycichły, kawiarnie i kasyna się zamknęły, ostatnie kroki hulaków spieszących do domu przebrzmiały i tylko rzadkie wołania serenistów w uspionem mieście się odzywają, wtedy bezsenne, nieprzerwany gwar niedalekiego morza nasze powieki skleci, nakształt piosenki piastunki.

Wagony kubańskie nie są urządzone poamerykańsku, z jedną, jedyną klasą, ale podzielone na trzy i cztery klasy. Cudzoziemiec podróżujący z damami, musiałby jechać pierwszą, żeby uniknąć konwersacyi nieskromnej, tak pospolitej między ludem, i nie spotkać się z kojcem kogutów bojowych, albo innym podobnym impedymentem, wiezionym przez amatorów wyspiarskiego sportu. Podróżujący *Cubano* wozi z sobą rozmaiłości i zwykł brać wszystkie swe brudne manatki do powozu drugiej klasy.

Koleje tego kraju są dobrze zbudowane, jeżdżą prędko, kosztują w miarę odległości przebytych drogi, przecinają zwykle płaskie, kamieniste sawanny, czyli równiny, rzadkimi palmami i miasteczkami urozmaicone. Stacje przystankowe, przy krótkich dwóch szeregach kamiennych, niskich domów się znajdują.

Każde takie *pueblo*, miasto, ma jedną, ciasną, krętą uliczkę i domy chłodne, niechlujne, pełne rozczochranych kobiet, czarnookiej dziatwy, pajaków i niedźwiadków, rzekomo jadowitych.

Obszary urodzajnej ziemi, oddanej uprawie, leżą w oddaleniu od drogi, bliżej gór błękitnych, długim łańcuchem karpackiej wyniosłości Kubę przecinających. Część wyspy na zachodniej stronie Hawany, jej perła, zowie się *Vuelta de Abajo*, to jest dolna. Jest to kraik mały, cały uprawie tytoniu poświęcony. Poza nim nie rodzi się najlepszy tyton hawański, ztąd też kosztują dobre cygara bardzo drogo, nawet w Kubie, a będą musiały w cenie wciąż się podnosić, bo ich podaż zwiększy też się w miarę wzrastającej europejskiej konsumpcyi, nie może. Cesarstwo niemieckie wywozi więcej dobrego tytoniu hawańskiego od któregośkolwiek innego państwa. Inne okręgi wyspy rodzą głównie trzcinę cukrową. Bawelna, dziko w górach rosnąca, nie wydaje włókna w zadawalającym gatunku na plantacyach. Kawę produkują w zachodnich podgórzach potomkowie Francuzów z Haiti przesiedlonych. Tamże znajdują się jedyne kopalnie na Kubie—miedzi.

Gospodarstwo cukrowe odbywa się w większych plantacyach w sposób postępowy, ze wszech miar chwalebny, przy pomocy najlepszych nawozów, maszyn i wynalazków. Ponieważ trzcinę kubańska rośnie gęsto, wysoko i grubo, więc plon z każdego morga taką ilość centnarów waży, że koszt jego transportu do fabryki ważną rubrykę wydatków gospodarczych tworzy.

Z tego powodu kładą postępowi plantatorowie przenosne koleje żelazne, lekkiej budowy, na swoich łąkach, zwoząc niemi ryż po ryzie do cukrowni. Jednym z przedsiębiorców rozpowszechnieniem takich kolei zajętych jest młody nasz rodak, Warszawianin, p. Krajewski, chwalebnie inżynierskiemu światu w Stanach Zjednoczonych znany.

Oile stolica wyspy w modach i zbytkach się kocha, o tyle znów jest życie plantacyjne niezmiennem i spokojnem. Właściciele dóbr mieszkają zwykle w mieście, zostawiając majątki w opiece kreolskich administratorów, względem których bandy powstańców i rozbójników, wicherzące tak czę-

sto w wiejskich okręgach, więcej wyrozumiałości okazują. Budynki plantacyjne składają się z obszernego, parterowego dworu, z koszar, ochronki, szpitala dla Murzynów, chaty dla Chińczyków, dworów dla maszynistów, stajni i t. p. zabudowań, ściśniętych naokoło przestronnego dziedzińca, w cieniu wysokiego komina obszernej cukrowni. Wsi, w naszym pojęciu tego słowa, z chatami, z ogrodami, sadami, kościołkiem, karczmą, ruchem pracy i rozrywki, trzodami wracającymi na spoczynek, pastuszkami muzykalnymi, — słowem z sielanką, takich wsi, niema na królowej Antyllów. Oprócz wielkich plantacyjnych dworów, trudno poza miastami siedzibę ludzką znaleźć, bo nieliczne kreolskie chłopstwo, tudzież wolni Murzyni, co życie leniwe w chatach i szałasach trawia, samorodnymi darami przyrody żyjąc, lubią się chować na rubieżach lasów, daleko od gościńców.

W domach administratorów i właścicieli dóbr panuje gościnność bez granic, a zajezdnych domów niema i nie potrzeba w sielskiej Kubie. Gość jest tam, zaprawdę, rzadkiem, pożądanym zjawiskiem. Podróże są połączone z przykrościami, tak od bandytów, jak też z powodu lepkiej natury gruntu, tworzącego po każdym deszczu błoto nieprzebyte. Każdy też jeździ sobie między plantacyami bezdrożem, omijając jak można kamienie, kałuże, gęstwiny kaktusów i tak zwane *jukka*, rzyńska skoszona trzcina. Po dłuższej ulewie staje się kraj nieprzebyty, nietylko dla kół, lecz i dla podróżujących konno.

*Administrador*, maszyniści, którzy są najczęściej Szkotami lub Amerykanami, i kilku dozorców składają, z rodzinami swemi, białą, panującą część ludności plantacyjnej, której część roboczą, dziesięćkroć liczniejszą, Murzyni i Chińczycy tworzą. Biali chodzą zawsze z rewolwerami za pasem i psami przy boku, z rasy potężnej, zajadłej, do tropienia i łapania zbiegłych Murzynów chowanej. Obfitość tych szkaradnych brytanów na każdej plantacyi daje smutne wyobrażenie o stosunkach między panami i niewolnikami zachodzących. Psiska nie napastują obcych białych, póki ci się powoli ruszają, ale administrator nigdy nie zapomni ostrzedz gościa, żeby ani po dziedzińcu nie biegł, ani się nie rzucał gwałtownie, bo mogłyby go psy wziąć za uciekającego Murzyna. Te poczwary krwiożercze muszą być w wielkich łąskach u swoich właścicieli, gdyż mają zwykle wolny wstęp do wszystkich pokojów. Szczery, doświadczony plantator nie usnąłby spokojnie bez olbrzymiego ogara u drzwi sypialni. Pies pilnuje pana od zdradzieckiego, mściwego, pokrzywdzonego niewolnika. Jest to ostrożność tem potrzebniejsza, że dla chłodu i przeciągu wszystkie drzwi bywają zawsze otwarte naociecz.

Z tej okoliczności korzystają pierzate, rogate i nierogate stworzenia, żeby sobie wchodzić i wychodzić bez anonsowania swych wizyt. Krowa w przedpokoju, psiarnia naokoło jadalnego stołu, a koza w sypialni, należą do codziennych widoków. Kreole chętnie pieszczą i karmią całą menażeryą wiejską w pokojach, których posadzki kamienne nie wiele szkody od racic i kopyt doznają. Raz widziałem wielkie zółwie, w sadzawce przed domem chowane i czołgające się po ganekach, gdzie im dzieci jeść dawały.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 7-my powieści pod tyt.: *Róża wśród cierni*.

ogłoszenia do BLUSZCZU przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy BERNARDA BERSOHN w Warszawie przy ulicy Nowy-Swiat Nr 67.

TREŚĆ. Pogawędka. — Miłość czy Rachuba? powieść, (dalszy ciąg), przez El-em. — Z działu przyrody, przez Dra Gustawa Fritsche. — Nowiny paryzkie. — Wystawa zabytków przemysłu pięknego, (dalszy ciąg). — Korrespondencja zagraniczna, Poznań. — Życie pod zwrotnikiem, (dalszy ciąg), przez Sygurda Wiśniowskiego.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 28 Іюля 1881 года.



# RÓŻA WŚRÓD CIERNI

POWIEŚĆ

przez autorkę „Stefana Lawrence“

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

Na tem więc stanęło. Adryan i Eleonora śmiali się po cichu z nagłej nieudolności Lady Clyde do przyjmowania gości. Przybyli jednak do Clydesdale w wilgą obiada i urządzili przyjęcie.

Nagle Lady Clyde powzięła nowy zamiar, który zwierzyła natychmiast swej siostrze.

— Klaro — rzekła — zdaje mi się że trzeba się okazać uprzejmą dla tych ludzi. Adryan mówił mi że muszę być obecną przy obiedzie i przemówić parę słów do dzierżawców, a przytem Alfredek ma się ukazać także, aby wypili jego zdrowie.

— To rzecz naturalna, Floryno.

— Muszę więc okazać wesołe oblicze. — Co mówisz o zdjęciu żałoby w tym dniu, uroczystym Klaro?

Lady Leestone pragnąca wprawić w dobry humor siostrę, odpowiedziała jej, że jest to właśnie najlepsza sposobność do tego aktu.

— Bądźcie to niby grzecznością dla twoich gości — rzekła.

Floryna ucałała się zupełnie szczęśliwą. Co za miłe zajęcie marzyć o nowej tualecie i przymierzając ją...

— Nie mogę tobie dosyć być wdzięczną że wybrałaś sobie Nanetę na kamerystkę. Jest to osoba nieoszacowana. Ach jaka to przyjemność zruć ten czarny ubiór! Szczęście że nie mam dużo rodziny, bo już nie będę nigdy nosić żałoby.

— Nowy zupełnie sposób zapatrywania się na stosunki familijne zauważyła siostra.

— Zastanawiam się — rzekła Lady Clyde — co mam włożyć. Na wpół jestem zdecydowaną na aksamit fioletowy, a znowu tęskno mi do niebieskiego koloru. Co mówisz Klaro?

— Aksamit i fioletowy kolor bez kwestyi, zmiana nie będzie tak nagłą. Niebieska barwa nie uchodzi. Włóż aksamit i dyamenty, jestem pewną że będziesz kontenta.

Humor Lady Clyde doszedł do zenitu słabej pogody. Myśl o fioletowym aksamicie napelniała ją rozkoszą, a przytem miała prawo włożyć dyamenty Clydów, co za szczęście!

— Alfredek będzie miał ubranie różowe, to będzie odbijało słodko od mego fioletu. Wiesz, Klaro, że się czuję o sześć lat młodszą.

Podeszła do lustra i zdjęła z głowy ostatni ślad wdowiego czepka to jest małą krepową kokardkę. Wszystko więc doskonale się składało. Naneta zajęta była od rana do nocy, a cała służba biegła zatrudniona.

## ROZDZIAŁ XX.

Wielki dzień zaświtał nareszcie i dzierżawcy przybyli w całym komplecie. Dobry obiad był przygotowany, a goście zupełnie byli zadowoleni, ale głównym wypadkiem na który oczekiwali, było zjawienie się Lady Clyde z małym dziedzicem. Mówili o niej po cichu podczas obiada, je-

dni słyszeli, że była kapryśna i dumna, drudzy że bardzo uprzejma. Wiedzieli że tego dnia miała zdjęć żałobę i poczytali to za uprzejmość dla siebie.

Nareszcie Lady Clyde się ukazała. Fioletowy aksamit słodko jej przypadał do twarzy, a dyamenty lśniły przepysznie. Alfredek bardziej niż kiedy wyglądał na książętko. Wchodząc trzymał mocno matkę za rękę. Skoro się ukazała powstała radość i okrzyki, na jakie tylko Anglicy zdobyć się umieją. Rumieniec się podniósł na twarzy mylady, a serce jej dumnie zabiło.

Adryan wstał, ustępując jej pierwszego miejsca, a wszystkie oczy zwróciły się na nią.

— Czy muszę do nich przemówić Adryanie? — zapytała zeicha strwożona.

— Tylko parę słów, Floryno. Miej odwagę, pamiętaj że to są sąsiedzi, nie wykwinłni zapewne ale wierni. Wstań i powiedz: — Drodzy przyjaciele! szczęśliwa jestem, że was mogę powitać w Clydesdale, przedstawiam wam przyszłego dziedzica majątku i imienia Clydów. Synka mego sierotę. Przecie to możecie powiedzieć.

— Tak to mogę — odparła Floryna — a w sercu dodawała sobie odwagi myśląc o dyamentach.

Wstała, postawiła chłopca na stole przed sobą i dosyć odważnie zaczęła powtarzać słowa Adryana, ale gdy doszła do tych słów: „przedstawiam wam przyszłego dziedzica“ kolory znikły z jej twarzy usta zbladły, głos zadrżał i zamarł zupełnie.

— Pomyślała o mężu — szeptała dzierżawcy — o pięknym odważnym sir Rupercie, który umarł samotnie w dalekim kraju.

Tem lepiej im się podobała, za tę tkliwość kobiecą i przywiązanie do męża; podnieśli okrzyk na cześć mylady a drugi był dla sir Alfreda.

Tak więc obiad powiódł się zupełnie i Lady Clyde była uszczęśliwiona.

Późno wieczorem zarzuciła bogaty koronkowy szal na głowę i wyszła na taras, gdzie stała Eleonora. Nigdy jej nie przyszło na myśl dla czego pani Clyde tak lubiła zachodni taras i często tam stała z głową wzniesioną ku obłokom. Floryna zapomniała już, że Rupert umarł o zachodzie słońca.

Adryan przyłączył się do nich i opowiadał Eleonorze o przyjęciu sir Alfreda.

— Zachwycający dzieciak — rzekła Eleonora z rozkoszą — Floryno, powinnaś być dumną z niego.

— To też jestem dumną — rzekła niecierpliwie Floryna, o! więcej niż myślicie...

Zawsze coś dziwnego się z nią działo, gdy była mowa o jej synu, albo zbladła nagle, lub stawała się nienaturalnie gadatliwą. Teraz odwróciła rozmowę od przedmiotu.

— Co za słodki wieczór — rzekła. — Nie widziałam jeszcze tak pięknego w Clydesdale.

Gdy to mówiła, zbliżył się lokaj podając jej kartę na srebrnej tacy. Wzięła ją i okrzyk zadowolenia wyrwał się z jej ust, ale potem zbladła, jakby zatrwożona.

— Jak to dziwnie! Jak to prędko! Gdzie jest Lady Leestone. Idź powiedz, że ją proszę, że jej potrzebuje... Czekać, nie — ja sama pójdę.

— Czy co złego się stało Floryno? — zapytał Adryan.

— Nie to tylko dawny przyjaciel z Indyi przybywa odwiedzić nas.

Podawała mu kartę na której przeczytał.

„Kapitan Archer, z gwardyi królowej.“

— Oficer! — rzekł Adryan z zajęciem. — Czy służył w jednym pułku z Rupertem?

— Nie, ale byli wielkimi przyjaciółmi — odparła.

— Kapitan Archer mówił mi, że będzie w Anglii tego lata i prosiłam go aby mnie odwiedził. Pójdę go przyjąć. — I Lady Clyde wybiegła.

Ani mąż, ani żona nie odezwali się nie, ale myśl ich nie próżnowała.

— Gdzie jest ten pan — spytała Floryna lokaja.

— W białym salonie, mylady — odrzekł.

Udała się tam szybko. Bardzo powabnie wyglądała w aksamitnej sukni z pysznymi brylantami, kolory jej były żywsze, a ciemne włosy lekko się potargały pod szalem. Stała przed kapitanem Archer z bijącym sercem, on wyciągnął ku niej obie dłonie w niemem powitaniu.

— Nie mogę panu powiedzieć jak szczęśliwą jestem widząc pana znowu! — zawołała.

Stali kilka chwil w milezeniu, patrząc na siebie; potem kapitan Archer pochylił się i złożył pocałunek na ręce zdobnej brylantami.

— Czy naprawdę pani mi jesteś rada? — rzekł.

— Nie mogę być szczęśliwszą — odparła. — Potem oprytomniawszy, prosiła go żeby usiadł.

— Pozwól mi pani jeszcze na siebie popatrzeć — rzekł, — Marzyłem o tem spotkaniu przez ostatnie pół roku. Wystawiałem sobie jak będę trzymał tę rączkę, wpatrując się w panią. Pozwól mi to urzeczywistnić.

— Możesz pan patrzeć jak długo zechcesz — odrzekła ze śmiechem tak szczerym, jaki już dawno nie zjawiał się na jej ustach.

— Jak pani wypiękniała! — rzekł. — Choć pani zawsze piękną byłaś, ale teraz wyglądasz jak królowa!

Jakże szczęśliwą była z tego słodkiego pochlebstwa. Jak dawno już nie podobnego nie słyszała! To zupełnie jak dawnymi czasy — myślała. Lżej jej było na sercu i duch zalotności obudził się w całej swej sile.

— Czy pan rzeczywiście sądzi żeś wyładniała? — spytała z uśmiechem, który nie dozwalał zaprzeczenia.

— O ile pani wypięknieć mogłaś — odrzekł Archer z galanterją, bo pani wie, Lady Clyde, że ją uważałem zawsze, za najpiękniejszą kobietę, jaką znałem.

Próżna, ładna Floryna uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Kiedy pan wylądował? — spytała.

— Wczoraj, ale za późno aby tu przybyć. Przenocowałem w Londynie i wyjechałem rannym pociągiem.

Nie dodał, że spędził dobrą chwilę na zwiedzeniu parku i przyjrzeniu się zamkowi ze wszystkich stron.

— Tak tęskniłem za widokiem pani, że parowiec i kolej zdawały mi się wlec jak żółwie.

— Gdzież rzeczy pana?

— Zostawiłem je w Londynie. Nie wiedziałem czy nie będę natrętnym, a przytem mogłem pani nie zastać albo też znaleźć pełno gości.

— Musisz pan pozostać w Clydesdale czas jakiś — rzekła niespokojnie.

— Jeżeli pani rozkazać raczysz. Mogę zatelegrafować po rzeczy. Będę uszczęśliwiony możliwością przepędzenia paru tygodni obok pani. Do Indyi już nie wracam, sprzedaję mój stopień. Już jestem zmęczony służbą. Floryna spuściła oczy ze skromną miną, wiedziała co to znaczyć miało.

— Już parę lat myślałem o wystąpieniu z wojska ciągnął dalej — nigdy nie miałem zamiłowania do mego stanu.

— Dobrze więc bardzo pan zrobi, biorąc dymenty — rzekła Floryna. — Ale czem panu mogę służyć, mamy wyborną maderę.

Kapitan przyjął propozycją i wino przyniesiono. Mało kto lepiej znał się na winie od Karola Archer. Popijając wolno, wytrawną maderę i patrząc na ładną kobietę, wieszował sobie w duchu swego szczęścia. Uczucie to zwiększyło się jeszcze, gdy ujrzał piękne pokoje wyznaczone mu przez Florynę; zadziwił go zbytek, wytworność którymi był otoczony, a które dowodziły wielkiego majątku.

— Jeżeli mój zamiar dojdzie do skutku i będę



panem tego wszystkiego przez lat kilkanaście, mogę powiedzieć że się pod szczęśliwą gwiazdą urodził,—myślał wesoło.

Podczas gdy elegancki kapitan zajmował się toaletą, Lady Clyde poszła szukać siostry — nie bez niejakiej trwogi. Wiedziała, że Lady Leestone nie lubi kapitana i uważa go za polującego na majątki. Była przygotowana do stoczenia o niego zaciętej walki;—jednakże drżąc stanęła przed siostrą, którą znalazła w dzieciennym pokoju.

— Klaro zgadnij kto przyjechał?—rzekła przedko z udaną obojętnością.

Lady Leestone daleką była od myśli o kapitanie. Uśmiechnęła się mówiąc.

— Nie umiem zgadywać, Floryno.

— Ktoś znajomy ci, ktoś, kogo ja bardzo lubię.

— Nie mogę zgadnąć.

Wtedy Floryna spojrziała siostrze w oczy.

— Kapitan Archer — rzekła śmiało. — Możesz mówić co chcesz, Klaro, ale go zaprosiłam i zostaje tu na parę tygodni. Może ci to być nieprzyjemnie, ale pamiętaj, że jeżeli dom zanadto nieznosnym uczynisz, to go opuścisz.

— Zapominasz się—odparła Lady Leestone. — Nie pamiętasz, co mi jesteś winną.

— Pamiętam dobrze. Ale Klaro, bądź rozsądną, i posłuchaj mnie. Dałaś mi wczoraj do zrozumienia, że potrzebujesz pieniędzy. Nie pożyczę ci ich, ale ci je daruję, jeżeli będziesz grzeczną dla kapitana Archer.

— Musisz bardzo lubić tego gościa, skoro za moją uprzejmość dla niego dajesz mi pięć tysięcy funtów—rzekła Lady Leestone z ironją.

— Może go i bardzo lubię—odparła Floryna.

— Gardzę przekupstwem — odrzekła dumnie lady Leestone. Prawda że potrzebuję pożyczyc pięć tysięcy funtów, a tobie ta summa nie zrobi różnicy, ale mąż mój odda ci co do grosza. Nie chcę być kupioną przez ciebie.

— To zrób o co proszę przez miłość dla mnie—rzekła Floryna, słodko patrząc na siostrę.

— Słuchaj — odparła Lady Leestone — to co się stanie, stanie się w brew mej woli i bez mego uznania, bo wiem zawczasu, że pójdziesz za kapitana Archer?

— Jeszcze mi się nie oświadczył—rzekła skromnie Floryna. — Ale jeżeli się oświadczy, to dla czego miałabym go nie przyjąć.

— Będzie to w twym dzisiejszym położeniu mezalians!—zawołała Lady Leestone—mogła byś wyjść za para, za księcia.

— Raz poszłam za mąż, aby zadowolnić drugich, a teraz chcę iść dla siebie — rzekła Floryna. — No, Klaro, czy ma być między nami pokój, czy wojna?

— Nie lubię go. Nie ciebie on kocha, Floryno, ale twoje pieniądze.

— Staraj się o mnie, gdy pieniędzy nie miałam — odparła Floryna — wątpię abym mu się teraz nie podobała, dla tego tylko, że posiadam majątek.

— Umywam ręce od tego! — zawołała Lady Leestone. — Co ludzie na to powiedzą? Co za myśl rozpoczynać konkury, tak wczesnie przyjechać za tobą... Mógł mieć dosyć rozumu, aby poczekać jeszcze z rok.

— Może bał się tego księcia, o którym mówiłaś — odezwała się wesoło Floryna. — Jedno słowo Klaro, wystarczy, pokój czy wojna?

Lady Leestone milczała przez chwilę wając się w myślach za i przeciw: Jeżeli powie „wojna“ nigdy dla niej nie będzie spokoju pod tym dachem; nie zrobi tego, o co mąż ją prosił i rozdzieli się z siostrą, której los będzie wtedy lepszym? Widziała, że Archer goni głównie za pieniędzmi, lecz lepiej nawet dla Floryny, aby przystawszy na to, czego jej zabronić nie mogła, ułożyła rzezy o ile można najprzyzwoiciej, i najkorzystnej, niż zerwawszy z siostrą nic nie zmienić, a zarazem sama wystawić się na wielkie kłopoty i nie dostać tak potrzebnych mężowi jej pieniędzy.

— Mów, Klaro, wojna czy pokój.—zapytała nagle Lady Clyde.

— Pokój—odparła Lady Leestone.

— To znaczy, że wyjdiesz do kapitana, podasz mu rękę, będziesz dla niego uprzejmą, będziesz mówiła o nim z Adryanem i Eleonorą w ten sposób, że go z przyjemnością widzieć będą.

— Dobrze — odrzekła Klara chłodno — zrobię czego żadasz, ale pożałujesz twego szaleństwa, Floryno.

— Spróbuję — rzekła obojętnie Floryna, i odwróciła się.

Lady Leestone zawołała za nią.

— Floryno, pamiętaj, że to nie jest człowiek godny zaufania, rozumiesz o czem chcę mówić...

— Nie zwierzę mu się z niczem—odrzekła Lady Clyde i odeszła.

Kapitan Archer oczekiwał już na nią w salonie.

— Czy już pan wypoczął — spytała wchodząc.

— O, sama obecność pani już dla mnie jest wypoczynkiem — odrzekł ze słodkim uśmiechem.

— Mówiłam siostrze o przybyciu pana — rzekła Floryna, a teraz kapitan spojrział niespokojnie.

— Zdaje mi się, że nie jestem faworytem Lady Leestone—rzekł.

— Zobaczysz pan, że nim zostaniesz—odparła.

Pierwsza oznaka władzy była bardzo słodką dla Floryny i Archer również pomiarkował, że się rozpoczyna jego panowanie. Dotąd musiał być uniżonym dla Lady Leestone, która go traktowała z góry.

Ukazała się ona za chwilę zimna i wyniosła. Podała rękę kapitanowi, ale nie było nic przyjaznego w powitaniu ani w słowach.

— Nie pyta się pani o starych przyjaciół, Lady Leestone? — rzekł kapitan — jadę prosto z Lahory.

— Sir John donosi mi o wszystkim coby wiedzieć chciała — odpowiedziała lodowato.

Kapitan, uczul że ma nieprzyjaciółkę w Clydesdale i że jego tu pobyt nie będzie ciągłą żegluga po słońcem oświeconem morzu.

— Jakże jestem nieuważny, Lady Clyde—rzekł — nie pytam się o zdrowie Alfredka. Jakże się ma?

Lady Leestone odpowiedziała w miejsce Floryny.

— Jest lepiej, ale zawsze nie tak silny, jakbyśmy pragnęły.

— Bardzobym rad go zobaczyć. Bardzo miła dziecinka, już może panią zabawić — dodał, zwracając się do Floryny — zrób mi pani tę łaskę, abym zobaczył malca.

Spostrzegł, że obie panie spojrzwały na siebie, i znów Lady Leestone odpowiedziała.

— Jest właśnie w parku w Brunton i trudno, abys go pan mógł dziś widzieć.

— Zawsze panie trzymają tę samą bonę.

— Tak i mamy nadzieję nigdy się z nią nie rozłączać — odrzekła Floryna — patrząc już teraz śmiało w oczy kapitana. Bardzo to grzecznie ze strony pana, że się pytasz o mego malca. Panowie zwykle się mało troszczą o dzieci i kto wie czy pan sobie przypomina Alfredka, czy pamiętasz jego twarz? jego rysy?

— Sądzę żebym go poznał—rzekł kapitan.

— Nie zdaje mi się—wtrąciła Lady Leestone—dzieci się tak zmieniają.

— Klaro — odezwała się Floryna — czy nie zechcesz zaprowadzić kapitana Archer na taras i przedstawić go Adryanowi? Ja zaraz idę za wami.

Kiedy odeszli, zadzwoniła i kazała podać sobie kieliszek wina.

— Muszę się otrzeźwić — rzekła... ach! co to czasem znieść trzeba...

## ROZDZIAŁ XXI.

Zwykła buta i wojskowa wyniosłość opuściły na chwilę kapitana Archer, gdy wchodził wraz z Lady Leestone na taras. Adryan pospieszył naprzeciw niego i serdecznie podał mu rękę.

— Witam pana — rzekł bardzo uprzejmie —

witam z wielką przyjemnością. Byłeś pan towarzyszem broni i przyjacielem Ruperta.

Kapitan Archer zmieszał się mimowoli, słysząc że go nazywają przyjacielem Ruperta. Czuł że był więcej przyjacielem jego żony i dla tego trochę nieśmiało spojrzął w piękną twarz tak podobną do twarzy Ruperta.

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana, panie Clyde — rzekł. — Znałem bardzo dobrze sir Ruperta, ale jego osobistym przyjacielem był Donald Rancorn.

Powiedziawszy to, elegancki kapitan był przekonany że zadosyć uczynił kwoli prawdy i szczerości. Lady Leestone wtrąciła parę chłodnych słów, wyjaśniających stosunek zażyłości jej rodziny z kapitanem w Indyach.

— Kapitan Archer należał prawie do naszej rodziny — dodała — i mamy nadzieję, że zostanie w Clydesdale, póki zupełnie do zdrowia nie przyjdzie.

— Czy pan chorowałeś? spytał Adryan.

Kapitan odrzekł znów mieszany, że klimat indyjski był dla niego zabójczym, i że już tam nie wróci.

Lady Leestone, wypełniwszy ściśle przyrzeczenie, uczynione siostrze, odeszła nie siląc się na zbytnią uprzejmość. Adryan był grzeczniejszym dla gościa; i poprowadził go w drugą stronę tarasu, gdzie była Eleonora.

— Jest to moja żona — rzekł. — Pozwól mi pan, że go jej przedstawię.

Spojrzawszy, kapitan Archer osłupiał na widok ujranej piękności. Nie tyle klasyczna doskonałość linii, jak anielska słodycz i zarazem szlachetny wyraz kobiecej godności, wywarły takie wrażenie, że mówić nie mógł, a raczej tak nie wiedział co mu powiedzieć należy, jakgdyby była to królowa. Gdy tak stał przed nią, czekając aż pierwsza przemówi, przyszło mu na myśl, dla czego taki człowiek jak sir Rupert nie wybrał raczej za żonę tej uroczej kobiety, w miejsce ładnej próżnej Floryny?

Eleonora przyjęła go uprzejmie, a za chwilę weszła Lady Clyde.

— Widzę żeś się już pan zapoznał, ze wszystkimi kapitanie — rzekła. — Jakże pan znajduje Clydesdale?

— Nie widziałem piękniejszego miejsca. Pani, któraś tu przebyła kilka lat — dodał zwracając się do Eleonory — musi je bardzo lubić.

— O bardzo, — odparła — każde drzewo, każdy kamień jest miłym dla mnie. Sądzę że nie ma uczucia silniejszego nad miłość rodzinnego domu.

— Ależ to nie był nigdy twój dom, — wtrąciła Floryna.

Kapitan spojrział oburzony na Florynę, że mogła taką impertynencją powiedzieć.

— Prawda, to nie był nigdy mój dom, w ścisłym znaczeniu tego słowa — odrzekła Eleonora spokojnie — ale Clydesdale jest jakgdyby rodzinnym gniazdem dla tych wszystkich, którzy noszą nazwisko Clydów.

Kapitan patrzył z uwielbieniem na tę tak piękną, a jak już poznał i rozumną kobietę; Florynę ogarnęło przykre uczucie zazdrości.

Eleonora uczuła się jednak dotkniętą słowami Floryny, i ujrzawszy wchodzącą Lady Leestone poszła do niej; kapitan śledził każdy jej ruch z zachwyceniem. Nagle Floryna zwróciła się ku niemu.

— Cóż pan mówi o tej mojej kuzynce?—spytała. — Ludzie tu uważają ją za cudowną piękność, czego ja nie widzę, a pan?

Za nado był przebiegłym, aby chwalić jakąś kobietę w obec Floryny, rzekł więc obojętnie.

— Nie zastanawiałem się nad tem. Mam tylko jedno pojęcie o piękności, a pani wiesz, jakie. Jedna tylko kobieta jest piękną dla mnie, żadna inna.

— Przechwalono tu urodę Eleonory — mówiła dalej Floryna, weszła tu już w modę nazywać ją królową okolicy. Samo imię Eleonory Clyde posiada nad tutejszemi ludźmi moc czarodziejską. Sądzę że pan nie da się oczarować.



— Mam w sercu talizman, który mnie od tego obroni — odrzekł.

— Talizman! a to jaki? — spytała zalotnie Floryna.

— Czyż się pani możesz pytać, — odparł kapitan. Miłość prawdziwa i głęboka nie dopuszcza zajęcia się żadną kobietą na świecie.

Zeszli z tarasu do ogrodu, a Eleonora z podziwieniem patrzyła jak Floryna uśmiecha się, rzuca zalotne spojrzenia i gdy pomyślała, że to jest wdowa po Rupercie, uczuła ścisnięcie serca. Wyrzuciła sobie, że może mylnie posadza Florynę, ale para spacerująca tak wyraźnie była zajęta sobą, że rzecz biła w oczy! Lady Leestone spostrzegła zasmuconą twarz Eleonory i chcąc złagodzić wrażenie, rzekła.

— Floryna i kapitan tyle czasu przebyli razem, że teraz mają sobie wiele do opowiedzenia po rocznym niemal niewidzeniu.

Dzień następny jasny i ciepły sprowadził do Clydesdale mnóstwo gości na doroczną uroczystość miejscowych wyścigów, a kapitan Archer patrzył zdziwiony na świetność przygotowań. Floryna była w różowym humorze. Ubrana w przepyszny kostium od Wortha, zawsze jeszcze złożony z różnych cieni liljowego koloru, gotowała się do przyjęcia jak królowa.

— Czy mam pani towarzyszyć? — spytał kapitan.

— Stosowniej dla mnie będzie wejść z panem Clyde — odparła Floryna. — Wejście moje z panem dałoby powód do rozmaitych komentarzy, a ja nie chcę, aby o tem mówiono teraz jeszcze.

Dwa ostatnie słowa zostały wymówione przypadkiem, nie mniej kapitan z zapalem ucałował jej rękę.

— Jesteś pani czarującą! — zawołał.

Uciekła, śmiejąc się, a za chwilę udała się z Adryanem pomiędzy gości, dla których tego dnia była nader uprzejmą. Potem Adryan się oddalił aby dozorować wyścigów.

Naturalnem było że kapitan się do niej przybliżył. Lady Leestone nie szukała ich wcale, a choć kapitan dostrzegł z daleka niebieską suknię Eleonory, za mądrym był aby się tam zwrócić. Tak spędzili resztą dnia we dwoje. Kilka razy kapitan pytał się o Alfredka, ale mu powiedziano, że Brunton nie pozwala mu być w ogrodzie, gdzie znajduje się tyle rozmaitych dzieci.

Między zgromadzonymi szepiano rozmaicie. Dla wielu osób było to dziwną rzeczą, że Lady Clyde o której wiedziano, że przybywała do Clydesdale, jak wdowa, której serce jest rozdarte, blada i zrozpaczona, dziś wydaje się tak bardzo szczęśliwą, w towarzystwie młodego oficera. Dowiadywano się kto on jest, aż jeden z panów objaśnił towarzystwu według słów Adryana, że kapitan Archer przybywa z Indyi i był przyjacielem męża Lady Clyde.

— Wygląda raczej na jej przyjaciela, szepnął ktoś przenikliwy. — Będzie on tu kiedyś panem, jestem pewna.

Wyścigi udały się wybornie. Wieczorem dobrana muzyka zachęcała do tańca i teraz kapitan zaskarbił sobie łaski całego towarzystwa.

— Idź pan i okaż się popularnym — szepnęła mu Floryna. — Tańcz pan z córkami dzierżawców i praw im komplementa, ale proszę pamiętać p. Karolu, żadnej zalotności.

— Pierwszy to raz od dawna nazwała go p. Karolem, co go zachwyciło.

— Nie mogę się oderwać od pani — rzekł czule.

— Musisz, choć abys pan zjednął sobie przyjaciół. Czyn jak ci radzę — dodała ale — przypominam, że będę patrzeć za panem, będę uważać...

Nie opierał się dłużej. Tańczył „prześlicznie“ jak mawiała jeszcze w Indyach Floryna — przetem prawil grzeczne słówka kobietom. Potem wniósł się między mężczyzn i rozmawiał z nimi uprzejmie. Mówiono o nim później między dzierżawcami, że grzeczny i zdaje się dobry człowiek, ale nie ma miny wielkiego pana, jak Clydowie.

## ROZDZIAŁ XXII.

Wieczór był bardzo piękny, jednak gdy goście się rozjechali, zmęczone panie zaraz odeszły do siebie.

— Śliczny wieczór — rzekł Adryan do kapita- — nie chciałbyś pan wypalić cygara w ogrodzie?

— Bardzo chętnie — odrzekł kapitan — tak lubię naturę, a tu jest tak pięknie w około.

Nie było to najczystsza prawda, bo piękność natury nie zachwycała nigdy wesołego panicza, ale okolice Clydesdale podobały mu się rzeczywiście.

Wyszli więc między stare drzewa, przez które przeświecał srebrny księżyc.

— Nie rozumiem dobrze stanu rzeczy w Clydesdale — odezwał się kapitan — wszakże gdyby nie synek sir Ruperta, pan byłbyś tu dziedzicem?

— Tak, ale nie myśl pan na chwilę abym zażdrościł chłopcu.

— Jabym nie był tak wspaniałomyślny na miejscu pana. Clydesdale jest tak piękną posiadłością, że nie mógłbym się powstrzymać od uczucia przykrego zawodu, jaki pana spotkał przez małżeństwo sir Ruperta.

— A jednak szczerze mówię, że nie czuję tego. Bardzo pokochałem malca i mam nadzieję, że się wychowa szczęśliwie na szlachetnego człowieka. Jestem i bez tego szczęśliwym.

— Nie rozumiem tego człowieka — pomyślał Archer na jego miejscu nienawdziłbym dzieciaka. — Potem dodał głośno. — Taki wir zabaw porwał nas dzisiaj, że dotąd z panem prawie nie rozmawiałem. Czy państwo mieszkają w Clydesdale?

Adryan mimowoli uczył się niekontent z niedyskretnego pytania, ale grzeczność była w nim wrodzona jak u wszystkich Clydów, odparł więc łagodnie.

— Od czasu przybycia Lady Clyde zamieszkaliśmy w Greenowes; ale przybywamy tu skoro Floryna nas potrzebuje.

— Zapewne pan zarządzasz majątkiem w jej imieniu — spytał kapitan jak od niechcienia.

— Tak, — odrzekł Adryan — będę zarządzał aż do pełnoletności chłopca.

— Masz pan dużo pracy, ale też zapewne i odpowiednie korzyści.

Korzyści!... zawołał — a to jakie?

Kapitan się trochę zawahał, niemniej rzekł: — Korzyści naturalne w takim razie: oprócz pensyi, muszą być dyety w razie podróży i tem podobne rzeczy.

Adryan aż zbladł.

— Jestem bratem Ruperta — rzekł wyniosłe — jestem najbliższym krewnym sir Alfreda. Choćbym był najuboższym człowiekiem i miał tylko co jeść i czemś grzbiet okryć, to jeszcze nie wziąłbym grosza za zajmowanie się dobrami mego synowca. Pracuję dla potomka Clydów i dla miłości Clydesdale, ale nie dla zysku.

Kapitan zmięszal się.

— To bardzo szlachetnie ze strony pana — wyjął ale zmięszal się jeszcze bardziej tonem, jakim Adryan mu odparł.

— Nie rozumiem pana, nie widzę tu nic tak szlachetnego. Mówmy lepiej o czem innym jeżeli pan pozwoli.

— Sądzę, że nie obraziłem pana — zauważył kapitan — nie miałem wcale tego zamiaru.

— Nie jestem obrażony — rzekł Adryan chłodno; — ale wolę nie rozmawiać o rodzinnych interesach z obcymi.

— W tem był mój błąd właśnie, że zapomniałem o mojem stanowisku względem pana — rzekł kapitan. — Jestem obcym dla pana, ale byłem przyjacielem sir Ruperta.

Słowa te rozbroiły Adryana. Wyrzucił sobie że był szorstki względem kapita, którego obchodzić mogły interesa rodziny Ruperta. Nie przyszło mu na myśl, aby gość miał osobisty interes w tych zapytaniach. Porozmawiali więc jeszcze

o dzisiejszej zabawie i wkrótce się rozeszli. Adryan zostawszy sam zadumał się głęboko.

— Nie podoba mi się ten człowiek, choć sam nie wiem dla czego, — pomyślał. Jak Rupert mógł go wybrać sobie za przyjaciela, on-taki wybredny!...

Udał się na spoczynek w niemiłym usposobieniu umysłu. Miał jakgdyby przecucie nieokreślonych trosk, i kłopotów.

Myśli kapita były zupełnie różne. Widział teraz jasno przed sobą. Czuł że Floryna mu sprzyja, i że wkrótce będzie panem Clydesdale, choć nie na zawsze, ale przez ten czas będzie mógł oszczędzić sumę, która wystarczy na resztę życia dla niego i dla Floryny.

— Odbiorę rządy majątku temu dumnemu pan kowi — pomyślał z uśmiechem. Nie widziałem jeszcze takiej pychy, boć przecież jestem też szlachcicem, ale na jego miejscu nie pracował bym darmo i nie mówił, że Kocham dziecko, które mi odebarło milionowy spadek.

## ROZDZIAŁ XXIII.

Następnego dnia rano, kapitan obszedł uważnie pyszne ogrody, obejrzał stajnie, cieplarnie, i zachwycony był tym przeglądem.

— Lepiej być panem Clydesdalu, niż rządzić królestwem — myślał. — Spotkało mnie rzeczywiście dziwne szczęście! Mieć taki majątek w ręku, co to za los dla mnie, który nigdy nie posiadałem pięciuset funtów na raz. Mogę łatwo zostać członkiem Parlamentu, a kto wie gdzie znajdę jeszcze, jakie godności mnie czekają; a to wszystko przez tę ładną Florynę. Niepojmuję jak ten Adryan zniósł taką stratę? Być tak bliskim takiej fortuny i utracić ją, toby mnie do szaleństwa przywiodło. A między niego i Clydesdale wcisnęło się tylko jedno wątle życie!

To mu przypominało, że jeszcze nie widział dziedzica; wrócił więc do pałacu i zapytał o Florynę. Zeszła w eleganckim rannym stroju cała w bieli i w fioletkach,

— Spóźniłam się — rzekła — ale wszyscy dziś tacy zmęczeni.

W tej chwili weszła Lady Leestone. Powitanie jej z kapitanem zawsze było jaknajchłodniejsze. Kapitan rzekł do Floryny.

— Wstydę się pomyśleć, że dwa dni tu bawię i nie widziałem jeszcze synka pani. Ostatni raz pamiętam go jak błądy i poważny siedział na kolanach Brunton, na pokładzie okrętu. Bardzo bym rad go zobaczyć. Czy prędko pani wyrzuciłaś kwiaty, które wtedy miałem szczęście dać pani.

— Mam dotąd jeden z nich — odparła Floryna.

Ale było coś tak wymuszonego i nienaturalnego w jej głosie, że kapitan spojrzal na nią uważnie. Była śmiertelnie blada z wybitnym wyrazem w spojrzeniu, który go zadziwił. Zauważył też, że siostra bacznie się w nią wpatruje. Po chwili Lady Leestone rzekła mu dość uprzejmie.

— Właśnie idę do dziecka, i chodź pan ze mną. Obrócił się do Floryny.

— Czy pani nie zechce pójść z nami i przedstawić mnie swemu synkowi? — zapytał; ale ona stała jak w ziemi wryta.

— Jest zmęczoną — odpowiedziała za nią Klara zostawmy ją w pokoju.

— Zaraz idę za wami — rzekła Floryna zmienionym głosem. Ale gdy odeszli padła na kolana przy stole, a zakrywwszy twarz rękami wybuchła namiętnym płaczem. Kiedy paroksyzm żalu przeminął, poszła do swego pokoju,

— Nie będę mogła go już nigdy zobaczyć — szepnęła do siebie.

Tymczasem kapitan i Lady Leestone szli do dzieciniego pokoju rozmawiając o zmianie jaka wywiera klimat na zdrowie dzieci. Gdy przyszli do drzwi Lady Leestone je otworzyła. Bona



właśnie ubierała chłopea na spacer i zatrzymała się widząc wchodzących.

— Kochana p. Brunton — rzekła Lady Leestone zimnym tonem głosu — kapitan Archer przyszedł zobaczyć sir Alfreda.

Szybkie spojrzenie zamienione zostało między kobietami, potem Brunton się ukloniła, a Lady Leestone odeszła do okna.

Zapanowało milczenie. Bona postąpiła naprzód trzymając dziecko za rękę. Chłopczyk podniósł zadziwione oczy na kapitana, który cały zapatrzony w dziecko stał z szeroko otwartymi oczyma. Lady Leestone oparła czoło o chłodną szybę, a żaden dźwięk nie przerywał głuchej ciszy, póki kapitan nie przemówił. Odetchnął ciężko, jakby mu brakowało powietrza w piersi i rzekł widocznie zmienionym głosem.

— A więc to jest Alfredek. Nie byłbym go poznał.

— Rok bardzo zmienia dzieci w tym wieku, zauważyła Brunton.

Widział jednak że jej ręka drżała. Wziął chłopczyka za rączkę.

— Jak się masz Alfredku? — rzekł. — Przyjechałem aż z Indyi, aby cię zobaczyć.

— Ja nie znam pana — powiedział chłopiec.

I znowu kapitan stanął jak wryty na dźwięk mowy dziecka.

— Cóż, zapytała bona spokojnie — jak go pan znajduje? czy rzeczywiście tak się zmienił? Zmężniał; to stanowi główną różnicę. Naturalnie i urósł...

— Nie znam się na dzieciach — odparł cicho kapitan. — Myślę że bardzo dobrze wygląda.

— Co powiesz temu panu — rzekła bona do dziecka. Malec podał rękę kapitanowi.

— Bardzo jestem kontent, że pana widzę — rzekł z czarującym uśmiechem.

Kapitan Archer pochylił się i pocałował go.

Wtedy Lady Leestone odeszła od okna. Twarz jej zdawała się kapitanowi bladą, a ręce nerwowo zaciśnięte. Z razu nie mogła wydobyć głosu, ale się przemogła gwałtownym wysileniem i przysła do dziecka.

— Czy nie pamiętasz nic Indyi Alfredku? — rzekła.

Chłopczyk potrząsnął głową.

— Ten pan z tamtąd przyjechał — mówiła dalej — tam mieszkał twój tatko.

— Mój tatko jest w niebie — rzekł mały patrząc na kapitana, jakby chciał wiedzieć czy mu nie zaprzeczy.

— Tak, jest w niebie mruknął kapitan nie wiedząc co mówić.

Lady Leestone przysła mu w pomoc.

— Musisz Alfredku pokazać kucyka kapitanowi, rzekła.

Nie spojrziała jednak na Archera, on też patrzył w inną stronę. Zamieniwszy słów parę wracali w milczeniu do salonu, aż kapitan rzekł nagle.

— Pójdę wypalić cygaro w ogrodzie, jeżeli pani pozwoli.

— I owszem — odparła Lady Leestone ciągle unikając jego wzroku.

Kapitan udał się do ogrodu, a ona pospieszyła do pokoju siostry. Znalazła drzwi zamknięte.

— Floryno — rzekła — otwórz, muszę z tobą pomówić. Cofnęła się przerażona ujrawszy twarz Floryny, zamknęła też żywo drzwi.

— Floryno, czyś postradała zmysły, aby tak się poddawać wzruszeniom! zawołała.

— Na Boga, powiedz mi wszystko odrazu — zawołała Floryna. Mów, albo skonam!

— Poszło jak najlepiej — odparła Lady Clyde.

— Uspokój się postępujesz zawsze jak dziecko...

— O Klaro, nie gniewaj się! Tyle cierpiałam! Patrz cała drże! — I Lady Clyde osunęła się na sofę bezsilna.

Lady Leestone z trudnością ją uspokoiła.

— Powiedz mi raz jeszcze Klaro, że wszystko dobrze.

Siostra musiała jej powtórzyć zapewnienie i opowiedzieć każdy szczegół rozmowy.

— Czuję się lepiej — rzekła w końcu Floryna odetchnawszy swobodniej. — Klaro zadzwoni na Nanetę, obiecałam kapitanowi, że pójdę z nim na spacer i chciałabym włożyć kostium pompadur, taki jest efektowny.

Lady Leestone wiedziała, że skoro myśli Floryny zwrócić się do ubrania wszystko będzie dobrze.

Za chwilę Floryna z rozjaśnionem czołem poszła do kapitana z zawiadomieniem że wychodzi na spacer i schodziła z wielkich schodów do frontowej sieni. Tam ją spotkał kapitan.

— Mam nadzieję, że nie dałam na siebie czekać — rzekł; a obejrzwawszy się czy są sami zbliżył się do niej i wziął za rękę.

— Lady Clyde — rzekł łagodnie — dla czego mi nie zaufałaś?

— Ufam panu we wszystkim — odrzekła żywo.

— Ale mi się nie zwierzyłaś i mogło być stać się przez to wielkie nieszczęście — rzekł. Ale mimo to, możesz na mnie rachować. Twój interes jest mi droższym nad wszystko.

— Ach nie mów, nie mów już pan nic — jęknęła. Opowiem wszystko, ale niech już następnie nigdy nie będzie o tem wzmianki.

## ROZDZIAŁ XXIV.

Adryan i Eleonora powrócili do Greenowes, ale kapitan pozostał w Clydesdale. Z początku robiono w okolicy uwagi nad jego przedłużającą się tam bytnością, ale obecność Lady Leestone zadość czyniła pozorom przyzwoitości.

Kapitan nieodstępował Floryny, starał się zaślugać na jej względy, wreszcie jednego poranku w końcu sierpnia zapytał jej czy może mu poświęcić godzinę.

— Nie mam dziś rano żadnego zajęcia — odrzekła Floryna spokojnie, jak gdyby zwykle poranki jej były zajęte pracą. Udawała że nie wie o co chodzi.

— Chcesz pani pójść ze mną do ogrodu? zapytał tklwym głosem — tam nikt nam nie przeszkodzi.

— Dobrze — odparła; ale wpiersz spojrziała w zwierciadło czy jej szlafroczek dosyć zgrabnie się układa, czy włosy są w porządku. Zarzuciła ładną pelerynkę Watteau, która dodała wdzięku jej ubraniu poczem wyszła na taras, gdzie oczekiwał ją kochanek — bo tak go w duchu nazywała.

— Dziękuję za pospiech — rzekł kapitan jeszcze czulej niż poprzednio, uważam to za dobrą przepowiednię dla siebie.

— Co pan chcesz, aby odkryła przepowiednia? — zapytała. — Myślałam że nie jesteś pan zabo-bonny.

— O pani! są chwile, w których człowiek przestaje rozumować

Ujął jej rękę.

— Pani! Floryno! rzekł wzruszony czy udający tylko wzruszenie, jak można było sądzić z patetyczności głosu. — Moja pierwsza, jedyna miłość była dla ciebie, ale wtedy daremno...

— To nie pochodziło z mej winy — odparła Floryna. Wiesz pan że moja ciotka nie chciała o tem słyszeć. Byłam wysłaną umyślnie do Indyi aby zrobić dobrą partję i zmusili mnie do świątelnego zamąż pójścia.

— Wiem o tem. Kochałem bardzo; więcej daleko, pozwól sobie pani powiedziec, niż cię kochał mąż twój, sir Rupert.

— O temu wierzę ci — wtrąciła Floryna pospiesznie.

— Nie chcę skarżyć się, ale wierz mi że nigdy

nie byłem szczęśliwy od chwili naszego rozłączenia i nigdy nie będę szczęśliwy bez ciebie ukochana. Potem wybuchnął gwałtownie. — Najdroższa, jedyni mi droga — zawołał, ciskając jej ręce — bądź wreszcie teraz moją... Czy chcesz?

Floryna spuściła skromnie oczy. Byłaby rada trzymać go w zawieszeniu, aby pokazać swoją władzę nad nim, ale było coś namiętnego w głosie, tak stanowczego w twarzy kapitana, że ją to wstrzymywało; jednak postanowiła posunąć zalotność do możliwych granic.

— To bardzo ważne pytanie, p. Karolu — rzekła, z kokieterją.

Ale kapitan nie był usposobiony do żartów, blady był i poważny.

— Nie igraj ze mną, pani — zawołał. — Mężczyzna nie zawsze znieść to może.

— Nie wiem co powiedziec — odparła. — Zawsze lubiłam pana więcej od innych i gdyby mi było wolno wybierać w Lahorze, byłabym poszła za ciebie Karolu. Ale teraz tak się rzeczy zmieniły.

— Tak, teraz jesteś pani bogatą wdową — rzekł z goryczą.

— Nie o to chodzi — odparła teraz już poważnie. — Wtedy myślałam tylko o sobie, teraz mam i inne troski na głowie.

— Jakie — zapytał.

— Dziecko — odparła cicho. — Dziecko, Adryana i Eleonorę.

— Myślę — rzekł znacząco — że równie dobrze mogą się opiekować dziećmi Clydesdale jak Adryan Clyde.

— Nawet — dodał kapitan — gdy się zastanowisz nad wyłączną korzyścią dziecka sądzę, że małżeństwo twoje pani wyjść mu może na dobre właśnie

— Ach! westchnęła Floryna. — Dziś jestem tu samowładną panią i mam nieograniczony zarząd jednego z najpiękniejszych majątków w Anglii. Mogę rozrządzać dochodami podług mej woli. Jeżeli pójdę za mąż moje położenie się zmieni.

— W jaki sposób? Zawsze będziesz pani swobodna w działaniu, z tą różnicą że będziesz miała przywiązanego męża. Powiedz mi już Floryno: — Tak...

Czuła w duchu, że nie ma innego wyjścia; trochę jej żal było tytułu Lady Clyde.

— Czy mnie naprawdę tak bardzo kochasz, Karolu — rzekła rumieniąc się.

— Więcej niż wyrazić mogę.

— A czy będziesz zawsze dobrym dla mnie, zostawisz mi wolność i nie będziesz się gniewał za wydatki?

Ach! najdroższa! zawołał — jak możesz przypuścić? Ty i przykre słowo z ust moich. Możesz mi ufać zupełnie Floryno, że potrafię być dobrym mężem.

Floryna spojrziała na niego badawczo. Słowa siostry odzywały jej się teraz w pamięci.

— Karolu — rzekła smętnie — myślę czy ty kochasz mnie, czy mój majątek? Czy byś był przyjechał za mną z Indyi, gdybym była uboga?

— Dręczysz mnie, pani. Zmuszasz do przypomnienia ci, że gdy byłaś ubogą okazywałem ci to samo uczucie, co dziś.

— Muszę zatem powiedziec ci już „tak“ Karolu. A więc niech się stanie — będę twoją.

Kapitan ucałował jej rękę z uniesieniem.

— Jakże mnie uszczęśliwiasz, najdroższa! — zawołał — Floryno, będziemy szczęśliwi bardzo szczęśliwi! A teraz, droga moja, powiedz czy chcesz aby związek naszych serc stał się głośnym? Gdy rzecz stanie się znaną ludziom, muszę opuścić Clydesdale, a jestem tu tak szczęśliwy, że odjechać mi ciężko.

(Dalszy ciąg nastąpi)